Nr. 42. Warszawa, dnia 18 (6) Października 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

„WIELKA MOWA.“

Zaiste trzeba wielkiej wstrzemięźliwości, ażeby w takiej ciszy, jaka obecnie ogarnęła Europę, nie czuć chęci do wypowiedania „wielkich mów,“ mając do nich prawo i niezliczonych słuchaczów. Podobna zaś wstrzemięźliwość byłaby szczególną ofiarą ze strony włocha, który dużo gadać lubi. Więc też Crispi, po długiej, przez wszystkie pisma powtórzonej spowiedzi przed korespondentem *Figara*, wygłosił „wielką mowę“ we Florencyi, a ma pozwolić sobie tej przyjemności niezadługo w Medyolanie i Turynie. Być może, iż redakcye dzienników, łaknące jakiegokolwiek materyału politycznego dla swych pustych szpalt, są wdzięczni gadatliwym oratorom, a zatem i Crispiemu; ale ich czytelnicy nie mogą obronić się ziewaniu. Gdyby tyle razy powtórzono im najpiękniejszy poemat lub najmądrzejsze dzieło naukowe, już znużyliby się jednostajnością; a cóż dopiero gdy ciągle słyszeć muszą, o pokojowych celach trójprzymierza, o potrzebie wysilonych uzbrojeń, o niebezpieczeństwie grożącem ze strony Francyi itd. itd. Wieczna czapla, chodząca po desce na wysokich nogach.

Wyprowadził ją naturalnie i Crispi. Jak już z jego ust wielokrotnie dowiedzieliśmy się, przystąpił do troistego sojuszu nie w celach zaczepnych, ale obronnych, dla zasłonięcia kraju i utrzymania pokoju. Włochy pragną żyć w zgodzie z Francyą, ale nie mogą skazywać się na jej łaskę i niełaskę. Wogóle Crispi obwijał swoje słowa watą, ażeby one bezpośrednio nikogo nie zraniły, a nawet skrapiał je nieco wonnościami. Dwie tylko wypuścił ze swego łuku strzały ostre: jedną przeciw irredencie, drugą — przeciw Watykanowi. Trudno wymagać od człowieka, a zwłaszcza od polityka, ażeby on przez całe życie wyznawał też same zasady; nie jest jednak ani wygodnem, ani przyjemnem opluwać dawniej wznoszone ołtarze i znieważać dawniej czczone bogi. Tę przykrość zgotował sobie Crispi już kilkakrotnie. Ex-liberał nakłada kagańce pismom liberalnym, ex-radykał wydaje hasła wsteczne, wreszcie ex-irredentysta piorunuje przeciwko irredencie. Według niego jest to żywioł odurzony szalonemi rojeniami, awanturniczy, niebezpieczny i szkodliwy, gdyż burzy prowincye włoskie w Austryi, podczas kiedy ona należy do spółki politycznej z Włochami.

Jeszcze mocniej napiętnował intrygi Kuryi rzymskiej, jej niezmordowane wydętymi policzkami rozdmuchiwanie gasnących iskier władzy świeckiej papieża. Te pociski wszakże, chociaż miotane w stronę Watykanu, obliczone były właściwie na uderzenie po odbiciu się we Francyę, która — jak kiedyś wyrzekł Gambetta — swego antiklerykalizmu nie uważa za „artykuł wywozowy“ i pragnie go zużywać wyłącznie w kraju, broniąc papieża, ile razy to może być korzystnem dla polityki zagranicznej, nadewszystko w walce z Włochami. Leon XIII-ty, „polujący w ogrodach na ptaszki“ — jak naiwnie o następcy Piotra św. donosi korespondent *Gazety warszawskiej* — piszący nieustannie encykliki i bulle, o których świat wkrótce zapomina, rozwiązujący „ostateczne“ zagadnienia społeczne, ani sam, ani przez instytucyę, na czele której stoi, ani przez wyznawców swej władzy świeckiej nie jest dla Włoch wrogiem groźnym. Siły bowiem materyalnej do przeprowadzenia swych uroszczeń nie posiada, potężni nie chcą, a słabi nie mogą użyczyć mu swego ramienia i odbudować państwa kościelnego. Wobec tak bezwładnego przeciwnika Crispi nie płonąłby gniewem i nie srożył się przeciw niemu, gdyby po za jego plecami nie stał ze złośliwym uśmiechem Mefistofeles francuski.

I cóż ten francuski szatan odpowiedział za pomocą swej prasy włoskiemu Faustowi? "Dam ci moją moc i dobra, których pragniesz, ale naprzód odprzysiąż się od trójprzymierza“ — co znaczy: zdaj się na moją wolę. Za długo Włochy używały gorzkich owoców tej woli i za zbyt dogadza ich dumie narodowej obecna samoistność w spółce z dwoma potężnemi mocarstwami, ażeby mogły przyjąć taki warunek.

A zatem: wielka mowa Crispiego nie rozjaśniła stosunków europejskich nowem światłem i nie wpłynęła na zmianę dotychczasowego ich układu. Pozostała bez wpływu i skutku, była garścią słomy spalonej dla uciechy florentczyków, fajerwerkiem słów, przygotowanym i puszczonym według zwykłego szablonu — niczem więcej. Czego, jakiego „tryumfu“ wielbiciele „winszują“ Crispiemu — doprawdy nie rozumiemy. Taki tryumf odnieść może każdy, kto posiada odpowiedni frak, salę, słuchaczów i zdolność dwugodzinnego mówienia. Kiedy Bismark urządzał sobie takie przedstawienie w sejmie, to przynajmniej kursa podskakiwały lub spadały na giełdzie, krosna dyplomatyczne zmieniały swoją osnowę, biegły noty i okólniki, powstawały nowe szeregi wypadków, objawiały się jakieś realne następstwa. Oracya Crispiego przeleje się jak mdła woda przez kolumny dzienników i wsiąknie w życie codzienne, nie oddziaławszy na nie wcale.

Z AUSTRYI.

Ponowne rozbicie ugody czesko-niemieckiej. — Pretensye czechów morawskich i despotyzm Gregra. — Kwestya słowiańska w Austryi południowej: konferencya posłów słowiańskich i jej uchwały. — Wybory do sejmu dolno-austryackiego i postępy reakcyi. — Kobiety żądają prawa wyboru. — Projekt prawa głosowania powszechnego. — Regulacya waluty i przemyślna *Neue freie Presse*.

Organy hr. Taaffego radośnie witały konferencyę prazką, na której staroczesi porozumieć się mieli z młodymi co do ugody. Jakże srodze zawiódł się i tym razem c. k. apostoł pojednania i zbratania ludów! Potęga faktyczna zwyciężyła i tu, jak zawsze w polityce: na pokorne ustępstwa staroczechów odpowiedział Gregr propozycyami, których rozbite nawet stronnictwo przyjąć

nie może. Żądał, aby złączone partye podpisały manifest, w którym, jako podstawy do nowych z niemcami układów, domagają się uznania prawa do samoistności państwowej i całkowitego równouprawnienia języka czeskiego w Czechach, na Szlązku i w Morawii, oraz zmiany obecnego porządku wyborczego w tych krajach. Konferencya prazka rozbiła się wskutek hardości nieubłaganego Gregra, a ta chęć wyzyskania raz zdobytej potęgi, obróciła też pono w niwecz drugi projekt ugodowy, który miał być przedstawiony konferencyi posłów czeskich, szlązkich i morawskich. Czesi morawscy poruszyli byli myśl wzajemnego porozumienia się dla solidarnego na przyszłość postępowania. Oni to najbardziej czuli się pokrzywdzonymi przez układy wiedeńskie i pragnęli pewnych ustępstw dla siebie, przedewszystkiem rewizyi porządku wyborczego, co Gregr uwzględnił. Było w planie morawian zjednać sobie naprzód staro i młodoczechów, następnie komitet wykonawczy prawicy, a wreszcie w stosownej chwili zmusić rząd do spełnienia ich życzeń. Lecz Gregr zgadzał się tylko pod warunkiem, aby czesi morawscy i szlązcy zsolidaryzowali się z programem samoistnego prawa państwowego, a przyjęcie tego warunku naraziłoby na szwank stosunek tych stronnictw do rządu. Organ czechów morawskich oświadcza tedy, że tak bezwzględnemu wyzyskiwaniu zdobytej przewagi poddać się nie można, i że Morawia woli zrezygnować z całego projektu ugodowego, aniżeli przyjąć go w opracowaniu Gregra.

Gdy tak na północy państwa tryumfuje skrajnie odśrodkowa dążność polityczna, na południu objawili ją również niedwuznacznie słowieńcy. Jubileusz Strossmayera dał sposobność do zjazdu posłów słowieńskich i istryjsko-kroackich, których obrady przypominały wielce konferencye czeskie, z tą jedynie różnicą, że tu większość oświadczyła się za programem samoistnego prawa państwowego. Właściwy rezultat tych obrad streszczać się ma w uchwale: dążyć do połączenia południowych krajów słowiańskich oraz do wznowienia historycznych praw tych krajów, w ramach zakreślonych konstytucyą Austro-węgier. Uchwałę tę jednak trzymają słowieńcy w tajemnicy, zaprzeczają odnośnym wieściom pojawiającym się w pismach, a urzędowe sprawozdanie z obrad zjazdu zawiera tylko: zasadę solidarnego postępowania posłów słowieńskich i istryjsko-kroackich w Radzie państwa, żądanie języka słowieńskiego w sądzie, oraz w szkołach ludowych średnich, wreszcie utworzenie osobnego namiestnictwa w Styryi południowej i osobnego wyższego rządu krajowego w Lublanie.

Niezbyt to bystry był polityk, który pod samogłoski alfabetu podłożył słowa: *Austria erit in orbe ultima*. Państwo to, skołatane zapasami narodowościowymi, szarpią w samem sercu walki klerykałów z liberałami, grup wyznaniowych, podburzonych przeciw sobie. Wybory do sejmu dolno-austryackiego odbyły się wśród scen tak gwałtownych, a rezultat ich dla stronnictw postępowych był tak zatrważający, że przyszłość państwa, o ile zależy od składu ciał rządzących, przedstawia się ponuro. Do walki stanęło dawne stronnictwo liberalne, które dla centralistycznej swej dążności nie posiada sympatyi innych krajów austryackich, wraz z niem demokratyczne, zajmujące stanowisko autonomiczne; z drugiej strony pangermańsko-antisemickie i koła klerykalne. Najzażartsza walka toczyła się w samym Wiedniu, gdzie klerykały zniewolili antisemitów do całkowitego poddania się ich życzeniom, wskutek czego parę mandatów dostało się fanatycznym duchownym. Wprawdzie ostatecznie 7 tylko mandatów przypadło antiliberałom, 14 stronnictwu postępowemu, lecz zawdzięczać to należy tylko znanej „geometryi wyborczej"; jakie zaś tendencye przeważają dziś w Wiedniu, o tem świadczą cyfry następujące: ogółem oddano głosów 46,721, z tych padło na posłów liberalnych 22,966, na klerykalno-antisemickich 23,138. Na zgromadzeniach wyborczych wzywali duchowni do „zniesienia jarzma Józefinizmu" i przepowiadali rychły powrót błogosławionych czasów konkordatu. Rzecz niewidziana w Wiedniu: kobiety, ulegające wpływom klerykalnym, mieszały się do wyborów i namiętnie agitowały.

Podczas tej walki podniósł się w Wiedniu głos, żądający przyznania kobietom prawa wyborczego. Co prawda, nie wyszedł on z kół klerykalnych, lecz z tego samego dzielnego grona niewiast, które przed kilkoma miesiącami spowodowało podanie petycyi o przypuszczenie kobiet do studyów uniwersyteckich. W Wiedniu i na przedmieściach żyje przeszło 30,000 kobiet płacących podatki, a pozbawionych praw politycznych. Zgromadzenie, które obradowało w wielkiej sali ratuszowej, uchwaliło wysłanie prośby do rady gminnej i do sejmu krajowego, żądającej udzielenia kobietom Wiednia i całej Austryi dolnej czynnego prawa wyborczego. Wybieralności nie domagają się jeszcze nawet najbardziej postępowe przedstawicielki tego ruchu; są natomiast pewne szanse, że żądania ich znajdą uwzględnienie. Coraz prawdopodobniejszem staje się też, że powszechne prawo głosowania będzie wkrótce przedmiotem poważnych rozstrząsań w Austryi. Jest ono hasłem stronnictwa demokratycznego, a po klęskach wyborczych i centraliści za niem się oświadczyli. Wprawdzie dzięki głosom kuryi wielkich posiadłości, sejm dolno-austryacki w tej kadencyi jeszcze mieć będzie słabą większość liberalną, lecz kto wie, jak wypadną przyszłoroczne wybory do Rady państwa, skoro nie uda się na najbliższej sesyi parlamentarnej przeprowadzić głosowania powszechnego, dzięki któremu przystąpiłyby do urny legiony robotników, stanowiących żywioł prawdziwie demokratyczny i liberalny i nieulegający ani klerykałom, ani antisemitom, ani zachciankom centralistycznym.

Rozbieżnym dążnościom politycznym przeciwstawia rząd austryacki energiczną dążność do umocnienia stosunków finansowych. Na tem polu łączą się interesy wszystkich krajów korony, austryacki zaś i węgierski ministrowie skarbu, często pozostający z sobą w walce, zgodnie wzięli się do tego dzieła. W Wiedniu odbyły się obrady nad reformą waluty. Obaj ministrowie są zdecydowani na zniesienie ważnej dziś srebrnej i na zastąpienie jej złotą. Waluta ta podniesie ma kredyt Austro-Węgier, usuwając bezustanną chwiejność wartości pieniędzy. Jest to, bądź co bądź, uczciwsza droga do uporządkowania finansów, aniżeli dowolne normowanie cen pewnych metalów na niekorzyść ogółu. Sprawozdanie z konferencyi wiedeńskiej oraz słowa ministra Wekerlego, wypowiedziane w węgierskiej komisyi budżetowej, każą wnosić, że ministrowie zgodzili się też co do sposobu przeprowadzenia reformy. Oto wszelkie obligacye, poczynione na banknoty lub na sre

---

ŻAŁOŚĆ

przez

PAWŁA GALLA.

(Dokończenie).

Odtąd dwaj bracia powrócili do dawnego wspólnego trybu życia. Adryan pilnie uczęszczał do szkoły, jadał z nami obiady. Nikt najlżejszą wzmianką nie dotknął przeszłości i on sam zdawał się zapominać o niej. Nie był wprawdzie tak jak przedtem, wesołym, lecz stał się spokojnym, dla brata czulszym, dla nas jakby tkliwszym. A jednak przy uważnem przypatrzeniu się mu dostrzedz było można boleść, która go nękała i z czasem zgnieść mogła. Andrzej jej nie dostrzegał.

— Coraz lepiej z nami!.. coraz lepiej — mówił, wesoło zacierając ręce — jesteśmy na dobrej drodze.

Z odzyskania brata i odniesienia zwycięztwa podwójnie szczęśliwy, nie dostrzegał pewnych złowieszczych oznak: sinych obwódek, codzień więcej okrążających oczy Adryana, żółtych plam na jego skroniach.

Podczas wakacyj rozpierzchliśmy się wszyscy. Mnie sprawy rodzinne dość długo zatrzymały w domu. Za powrotem dowiedziałem się, że Andrzej wyjechał do Rzymu. Adryan zaś wydał mi się jeszcze bledszym, szczuplejszym, niż przed naszem rozstaniem: sine obwódki i ceglaste piętna wydatniejszemi się stały — usta miał blade, trzymał się pochyło.

— Szaleniec! — rzekł do mnie Gardel. Zabijał się czem innem... teraz zabija się pracą.

Tak było istotnie. Adryan podejmował taką pracę, że mógłby skruszyć się pod nią kolos. Całe dnie spędzał zamknięty u siebie, sam na sam z modelem „ciociaro" *), piętnastoletnim rzymianinem o boskich kształtach, słowa po francusku nieumiejącym. Zarówno cel, jak i przedmiot tej nadmiernej pracy był dla nas niewiadomy; to też dnia pewnego rzuciliśmy mu pytanie:

— Co robisz na górze sam jeden od rana do nocy?

Uśmiechnął się łagodnie.

— Arcydzieło! — odparł.

Ta prosta odpowiedź, głosem spokojnym uczyniona, sami nie wiedzieliśmy dlaczego, chłodem nas przejęła.

Raz jeszcze pewnego wieczoru, ostatniego niestety wieczoru, w którym go widziałem, usłyszałem ten sam wyraz z ust jego. Było to w grudniu podczas tęgich chłodów. Temperatura nagle obniżyła się w sposób zatrważający. Siedzieliśmy przy stole u matki Boyceret. Koronki szronu zwisały u okna ogrzanej izby. Późno już było — Adryan nie nadchodził. Przewrócone krzesło wskazywało jego miejsce.

— Co on u djabła robi? ten smarkacz! — zawołał Gardel. Czy który z was go nie widział?

Oile dawniej szorstkim bywał dla Adryana, o tyle teraz troskliwością go otaczał. Odziedziczył to w spadku po nieobecnym Andrzeju.

— Hej, wy tam z pracowni, nie widzieliście go?

— Nie.

— Dziwna rzecz!

W tej właśnie chwili wszedł Adryan. Straszno było nań spojrzeć. Głęboko zapadłe oczy jego płonęły, wychudłe dłonie gorzały, ramionami garbiącemi się pod cienkiem suknem paltota wstrząsały dreszcze. Nie prędko potem, zbyt późno, dowiedzieliśmy się, iż niedostatek bardziej jeszcze, niż nadmierna praca, rujnował ten wątły organizm, przebytem wstrząśnieniem i zgryzotą już podkopany. Zawstydzony, że tak długo żył kosztem brata, dla zaspokojenia wydatków przy pracy jego niezbędnych i dla spłacenia długów bez wiedzy brata zaciągnionych, Adryan oszczędzał się do ostateczności: jadał raz na dzień, pokrzepiał się wieczorem kawałkiem chleba i sera. On teraz z kolei wina, ani kawy nie pijał. Sprzedawał wszystko, co sprzedać się dawało: meble, książki, cacka, odzienie, a gdy ciepłe palto wywędrowało z mieszkania, marzł sam pośród zimy w letniej odzieży.

— Ty masz gorączkę! — zawołał Gardel, ujmując jego rękę.

— Ja? Co znowu? Gdzież tam!..

O, zdrów był zupełnie; usiłował dowieść nam tego, siadając przy stole i rozmawiając z taką swobodą, wylaniem, szczerością, z takiem szczególnem, płynnem, namięt-

*) Włościanin Kampanii rzymskiej.

bro, likwidowane będą w złocie, a podstawą obliczeń będzie średnia wartość banknotów austryackich, mierzona stopą złota w ciągu ostatnich lat dwunastu. Austrya posiada obecnie obieg pieniężny o 830 milionach złr. w. a.; taką więc sumę wydać będzie trzeba w złocie i w biletach opartych na złocie. Mimo iż co do punktów zasadniczych nastąpiła już zgoda, daleko jeszcze do przeprowadzenia w praktyce regulacyi waluty. Obudziło to zdziwienie powszechne, że *Neue freie Presse*, zamiast jak zwykle krytykować zjadliwie plan ministra Dunajewskiego, wystąpiła z hymnem pochwalnym, a nawet uskutecznienie regulacyi zapowiedziała na przyszłość najbliższą, chociaż w kołach dobrze poinformowanych wiedziano, że ma to być sprawa trwająca lat parę. Niebawem rozwiązała się zagadka: artykuł ten spowodował nagłe podskoczenie kursów. *Neue freie Presse* przewidując to, zaangażowała się była na zwyżkę i wygrała parę kroć. *Ab hostibus docere*, mawiali starzy rzymianie; zarabiać na nieprzyjaciołach — oto hasło Katonów nowoczesnych.

S.

PRZED I PO 1-ym PAŹDZIERNIKA.

IV.

Lecz z chwilą wkroczenia władz na drogę „społecznej pozytywnej polityki" postać rzeczy się zmienia. Wybory z 1884 dają do 360, z 1887 — już 763 tysięcy, o 1890 nie mówimy. 10% wyborców oświadcza się w 1887 za przyznaniem krytyczno-negatywnej polityki społecznej! Lecz świadomość tłumów nie wzrasta odpowiednio do liczby. Przedewszystkiem głosują za społeczną demokracyą różne odłamy niezadowolone, chociaż nie zgadzają się niekiedy na jej dążności. Staje się ona dla wielu wyrazem wszelkiej opozycyi. Tem to można objaśnić jej rozrost w Szlezwigu - Holsztynie, Hanowerze, gdzie społeczni demokraci wychodzą z urny wraz z Windhorstem i innemi wstecznikami. Naturalnie taki wyborca jest sprzymierzeńcem niepewnym. Wahania też podczas reakcyi tu są najwybitniejsze. W wyborach 1871 mamy w Szlezwigu-Holsztynie 11, w 1874 i 1877 już 44 tysięcy, tymczasem reakcya 1878 zniża tę liczbę do 29, 1881 do 14, i nawet 1887 podnosi tylko do 40 tys. W Lotaryngii-Alzacyi przy jednem głosowaniu jest kilka tysięcy, przy dalszych kilkaset lub żadnego głosu — i to w okresie wzrostu partyi. Jest to dowód nieustalenia się i niewyrobienia zapatrywań. Lecz i sam wzrost głosów po przesileniu 1881 daje dużo do myślenia. Wszak praca kulturno-partyjna została przerwana. Dopiero około 1883 zjawia się *Neue Zeit* i kilka małoważnych organów. Ilość ich mnoży się, lecz naprzód kaganiec cięży, a powtóre za mało jest ich na potrzeby partyjne. Jeszcze gorzej z ulotnemi pisemkami i broszurami. Wszelkie próby organizowania „Fachvereinów" utrudniono, a założone—rozwiązywano. Zebrania, posiadające takie znaczenie w kształceniu politycznem, ustały. Słowem, zbywa na wszelkich środkach i miejscach pedagogiczno - partyjnych. Brak ćwiczeń klasowo-zawodowych, brak popularno-naukowej literatury, brak szkoły polityczno-metingowej. Prasa zurychska nie może zastąpić tego wszystkiego. I kiedy lata z przed 1878 można nazwać okresem pracy kulturno - klasowej, czasy praw wyjątkowych są jedynie widownią działalności wyborczej. Tłum idzie ślepo za przewódcami, lecz bez dostatecznej świadomości celów i zadań. Wielu zaczyna widzieć w agitacyi wyborczej i wyborze posłów główne zadanie i gotowi są zapomnieć o innych dążnościach. Istnieje nawet specyalne wyrażenie, charakteryzujące tę epokę dziejów społecznej demokracyi: *Stimmvieh* — „bydło głosujące." Jest to masa bezmyślnie posłuszna powagom, mało uświadomiona i widząca jedyny cel przed sobą: oddanie głosu wyborczego. Dr. Bruno Wille w tegorocznym sierpniowym odczycie na zgromadzeniu szewców berlińskich właśnie skreślił ten stan rzeczy. Odczyt nosił nazwę: „o podatności tłumów. Człowiek z natury swojej posiada popędy stada, o których zniszczenie lub zmniejszenie winna się starać oświata i wychowanie. Umysłowość w niższych warstwach jest mało rozwinięta, i dlatego łatwo ulega powagom, zwłaszcza opromienionym jeszcze blaskiem męczeństwa. Dzięki temu masy uważają wodzów za nieomylnych, którzy „poczynają również w to wierzyć. Drużyna wyborcza demokracyi społecznej jest płodem takiego popędu trzodowego, prasa więc i zebrania winny zająć się wyrobieniem samodzielności. Will wskazuje bezwarunkowo słabą stronę tegoczesnej demokracyi społecznej. Zresztą, w gruncie rzeczy partya składa się z nielicznego wyrobionego odłamu i z mas niewykształconych, a odłam parlamentarny balansuje pomiędzy temi grupami. Okazało się to w dniu 1 Maja. Już na zjeździe paryskim demokracya społeczna zastrzegła się przeciwko możliwości bezrobocia w Niemczech i niedopuściła go istotnie. Dlaczego? Ponieważ bała się rozbicia partyj, a raczej skompromitowania moralnego. Nie była pewną, czy tłumy, nawykłe do trzodowego posłuszeństwa względem pracodawców, zdobędą się na świętowanie. Wyobraźmy sobie teraz wodzów, których armia nie posłuchała i którzy zostali się z garstką niewielką berlińczyków i sasów! Byłoby to postradanie wieloletnich wysiłków i zdobyczy i jedynie nieopatrzność mogła powstawać przeciw tej taktyce.

I oto zbliżamy się do obecnego sporu, który wybuchnął z powodu 1 Maja. Grupy berlińskie i saskie rozpoczęły atak na grupę parlamentarną za jej powściągliwość. Opozycya znalazła zwłaszcza ognisko w Saksonii, gdzie zrodziła się demokracya społeczna, gdzie eizenachiści po raz pierwszy wystąpili do walki z lasalistami i w ogóle gdzie poziom umysłowy jest dość wysoki. Bruno Wille i M. Schippel są głównemi postaciami tego prądu. Niepodobna nam dokładnie zdać sprawy ze sprężyn i poglądów opozycyi — zwłaszcza, że główna walka toczy się za kulisami. To też i nasze przedstawienie należy przyjąć z wszelką ogłędnością. Przedewszystkiem niewidać jakoś dotychczas przeciwieństw teoretycznych, tak iż zdaje się jakoby cały spór wyrósł głównie na gruncie antagonizmów pomiędzy krewkością temperamentu, a wygórowaną powściągliwością. Niezadowolenie z powodu 1 Maja przeszło w dość gorszącą polemikę dziennikarską. „Młody odłam" wyciąga fakty, znane nam z odczytu Willego, tembardziej odkąd grupa parlamentarna zażądała, aby prasę partyjną poddano cenzurze stronnictwa. Wtedy to uderzono na owią konieczność swobodnej krytyki, jakkolwiek należy przyznać, że cenzura partyjna tego jeszcze nie znosi i jedynie powściąga *nadużycia* słowne przeciw osobom i czynom pojedyn-

---

nem krasomówstwem, że słuchaliśmy go jak natchnionego.

— Ach sztuka! sztuka! — zawołał — ona jest źródłem niewyczerpanych rozkoszy! Z jednego tchnienia, błysku, z niczego — stwarzać jak Bóg istotę, ciało, kształty wiecznotrwałe! Chwila poczęcia — to chwila niewymownych rozkoszy. Bóg w szczęśliwości swej jednem tchnieniem myśli z nicości materyę wytwarza i życie w nią wlewa — po nim artysta również, szczęśliwy, opanowywa materyę i wciela w nią myśl!.. Mniejsza o to, czy następnie dusza jego w nicość się rozwieje, czy też trwać będzie! Mniejsza o śmierć, o życie, o odrodzenie! Śmierć tu jest niczem. Nie umiera ten, kto po sobie zostawia wspomnienie, myśl, czyn; kto przez szczytną potęgę mnożenia siebie samego trwa bez końca, kto w dzielach i czynach swych znajduje odrodzenie...

Mówił, mówił ciągle, jedząc mało, wsparty niedbale o poręcz krzesła, z uśmiechem, z wyrazem silnego przekonania, który wygłaszanym teoryom nadawał jakąś moc niezwykłą. Zdumieni, przerażeni wiejącą zeń sków jego tajemniczością, słuchaliśmy nie śmiejąc przerywać, lecz tylko zapytując się wzajem, co mu jest, do czego zmierza? Pijany, czy szalony?

— Trzeba odprowadzić go do domu — szepnął mi do ucha Gardel; jutro zrana dowiemy się, jak mu będzie.

O jedenastej odprowadziliśmy go do mieszkania. Po wyjeździe brata przeniósł się był z ulicy Visconti na piąte piętro przy ulicy Mouffetard. Gardel, z powodu jakiegoś interesu w przeciwnej stronie miasta, odszedł, pozostawiając nas samych. Skorzystałem z tego sam na sam, aby mu powiedzieć:

— Słuchaj jesteś w stanie nienormalnym, masz gorączkę,... przeciążasz się pracą. Należałoby odpocząć trochę, uszanować się...

Przerwał mi mowę.

— Ba, uszanować się, powtórzył — stare bajdy. Jak gdybym nie był...

Nagle zatrzymał się i tonem, w którym nie było już ani cienia uprzedniego szału, przemówił łagodnie.

— Nie warto już, Pawle, nie warto... O, nie zaprzeczaj mi, wszak widzisz sam, że wszystko wkrótce się skończy...

— Co się skończy?.. zawołałem przerażony temi złowieszczemi słowami.

— Dzieło!.. odparł Adryan. A po chwili wskazując na siebie dorzucił — i człowiek. Czuję to... Oddawna już czuję to!.. Od dnia, w którym ona mną wzgardziła!.. Bo ona wzgardziła mną, Pawle, obojętnie mię odepchnęła!.. Nie zrozumiała, co to jest dusza artysty... że ja kiedyś mógłbym się stać jej dumą...

Zatrzymał się znowu, wzruszenie przerwało mu mowę. Smutny do głębi duszy ściskałem dłoń jego w milczeniu, nie umiejąc nic mu powiedzieć, nic!

Po chwili mówił znowu.

— Ha! Mniejsza o to. Zrozumie to kiedyś... Żal mi tylko Andrzeja! Co do mnie, sam widzisz... lepiej będzie, gdy skończę... Cobym ja począł z życiem? Jednego tylko pragnę — skończyć to, tam... na górze.. Arcydzieło, Pawle, powiadam ci, że arcydzieło! Skończone już prawie,... jeszcze dwa, trzy dni...

Oczy mu zabłysły, zbudziła się myśl twórcza, od trzech miesięcy wywierająca na niego wpływ galwaniczny. Wszelako niepokoiło go zwiększające się zimno; w chwili gdy zbliżaliśmy się do mieszkania zawołał:

— Brrr! Co za mróz! Oby przynajmniej nie wyrządził mi on szkody tam, na górze!..

Niespokojnym był o swoją pracę.

— Wejdę z tobą na górę — rzekłem, zatrwożony myślą zostawienia go jednego wśród nocy.

Bronił się.

— Ależ nie, nie... Cóż u djabła, nie jestem przecież umierającym... dozorczyni nie potrzebuję. A przytem — głupio to może, ale nie chciałbym nikomu *go* pokazać, zanim ostatecznie wykończonym nie zostanie. Przyjdź za dni parę...

Musiałem ustąpić i ze ściśniętem sercem poszedłem do domu. . . . .

. . . .

Co zaszło później, nikt o tem nie wiedział; przypuszczenia były następne.

Dniem i nocą w pokoju Adryana płonął ogień w malutkim piecyku, dla podtrzymania stopnia temperatury niezbędnego dla snycerskiego modelu; wiadomo przecież, jak szkodliwemi dla utworu z gliny bywają silne mrozy. Prawdopodobnie tedy, w dniu tym stróżowa zapomniała opatrzyć izdebkę jego w odpowiednią ilość węgla czy drzewa, bo przed udaniem się na spoczynek Adryan

czym stronnictwa. W dalszym ciągu nastąpiło starcie z powodu przyszłej organizacyi partyjnej i znaczenia w niej odłamu parlamentarnego. Między innemi szło o ukształtowanie zjazdu w Halli (12 paźdz.). Młoda opozycya sprzeciwiała się, aby każdy okrąg wyborczy, zarówno wykazujący kilkaset głosów, jak i kilkanaście tysięcy, miał wysłać jednaką liczbę przedstawicieli, twierdząc, że wtedy różne społeczne zaścianki zapanują nad postępowemi ogniskami, i żądała ustosunkowania liczby delegatów stosownie do rozmiarów partyi w danej okolicy; tymczasem odłam parlamentarny broni „prowincyę“ na tej zasadzie, aby wciągnąć ją większemi prawami w żywszy ruch społeczny. O ile można sądzić z tych faktów, idzie tu wprost o utrzymanie nadal centralizacyi dzisiejszej lub podkopanie jej.

Jak walka ta skończy się, trudno przewidzieć, chociaż dzisiaj grupa parlamentarna zwyciężyła, zwłaszcza dzięki moralnemu poparciu Engelsa. I istotnie, obecne skupienie i centralizacya partyjna są najważniejszą zdobyczą stronnictwa z okresu praw wyjątkowych. Jest to ważne narzędzie walki. Wobec państwowo-niemieckiej organizacyi potrzebną jest i przeciwnikowi podobna broń. Co więcej, ta sama centralizacya, jako maszyna finansowa, jest najpotężniejszym środkiem pracy kulturno-partyjnej i podniesienia świadomości tłumów. I jeśli „młoda partya“ ma słuszność w pewnym zakresie, nie wynika stąd jeszcze, aby w imię tego rozsadzała zdobyte kadry bojowe. Starczy aby otrzymano swobodę poruszeń, a działalność przeciw niżkiej umysłowości partyjnej zakwitnie mimo, a raczej dzięki karności i jednolitości. Utrzymać dzisiejszy ustrój jednolity i zamienić *Stimmvieh* na jednostki krytyczne — oto wielkie zadanie, które dzisiaj spoczywa przed demokracyą społeczną, a której zdoła ona dokonać tylko przy braku praw kagańcowych. Ukazanie się „młodej“ grupy udzieliło jedynie żywszej podniety w tym kierunku i pomoże wyrwać różne chwasty okresu wyjątkowego.

K. R. Żywicki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Niektóre sejmy już się zebrały (w Austryi), niektóre zbierają się wkrótce (we Francyi i Niemczech), może więc one wprowadzą nieco więcej życia do wlokących się martwo spraw politycznych. Właściwie spraw takich na porządku dziennym niema. Bo ile dopłaty do pensyi obecnej otrzyma Milan, gdzie mieszkać będzie Piotr Korađiordzewicz, kiedy umrze król holenderski, z jakich żywiołów utworzy się ministeryum portugalskie — wszystko są to drobiazgi. Właściwie dwa tylko rozgrywające się obecnie procesy zasługują i zasługiwać będą na uwagę: coraz widoczniejszy rozkład wewnętrzny Austryi i nowe organizowanie się socyalno-demokratów w Niemczech. Ustawiczne tryumfy młodoczechów, a porażki starych, nie oznaczają bynajmniej zwycięztwa Gregra a przegranej Riegera, lub nawet szeregów, które pod ich dowództwem walczą: są to raczej dowody wzmagania się sił i czynników rozkładowych państwa. Przykład czechów, wypowiadających posłuszeństwo hegemonii niemieckiej i wymagających samoistności, nie pozostanie bez wpływu na dążenia innych ludów słowiańskich, który zresztą już się ujawnił w zjeździe posłów słoweńskich, w ruchu chorwackim itd. Jeżeli zaś pożar, dotąd umiejscowiony nad Wełtawą, rozszerzy się dalej, na inne materyały palne, monarchia Habsburgów może się znaleźć w poważnem niebezpieczeństwie i staną wobec zagadki swego bytu. Już dziś trudno jej się dziwić, że zupełnie zapomniała o Sadowie i wiedziona instynktem samozachowawczym coraz bardziej przywiera do Niemiec. Podobno przy spotkaniu w Rohnstoku, a następnie podczas polowania w Styryi ułożono warunki unii celnej austro-niemieckiej. Może to być środek zaradczy przeciw skutkom bilu Kinleya i ekonomicznej polityki amerykańskiej; ale przypominamy, że wypieranie Austryi przez Prusy ze związku niemieckiego rozpoczęło się również od unii celnej. Dotąd w tajemnicy, ale niewątpliwie dokonywa się jakiś ścisły zrost dwu ciał, należących do trójprzymierza.

O kongresie socyalno-demokratów w Halli, pierwszej wielkiej ich naradzie po zniesieniu ustawy wyjątkowej, pomówimy osobno. Dziś tylko zaznaczymy, że zwycięztwo „starych,“ tj. grupy parlamentarnej (Bebla, Libknechta i in.), która dotąd stanowiła główny sztab stronnictwa, zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Przynajmniej na pierwszych posiedzeniach pokonali oni zupełnie „młodych“ przeciwników i współzawodników, których uznano za warchołów. Wybrana komisya ma jeszcze szczegółowo rozpatrzyć ten zatarg, ale już dziś widać, że hasła umiarkowania i działalności pokojowej, bez zamachów i awantur, zapiszą się na sztandarze społecznej demokracyi niemieckiej. Z pojedynków na języki „młodzi“ ciągle wychodzą poranieni, a często z pola walki cofać się muszą śród szyderstw i wymysłów otoczenia.

Rząd niemiecki widocznie postanowił pozwolić socyalistom wygadać się swobodnie, ażeby z ich szczerych wynurzeń wyciągnąć dla siebie zasadę i kierunek postępowania. Jest to z jego strony taktyka bardzo mądra, bo jeżeli zechce walczyć, będzie przynajmniej dokładnie znał swych nieprzyjaciół i wiedział, którzy są dla niego najgroźniejsi.

Jakieś zalążki oporu i odwetu przeciwko wrogiej postawie Stanów Zjednoczonych względem Europy zaczynają w niej kiełkować. Słychać o pewnym ruchu i zabiegach we Francyi, w Austryi, w Niemczech, ale wszystko to nie przybrało jeszcze określonej formy, a nadewszystko nie przedstawia nadziei ogarnięcia wszystkich państw, co jedynie nadałoby tym zapasom ekonomicznym skuteczność. Tymczasem firmy przemysłowe, sprzedające swoje towary na rynku amerykańskim, zwijają warsztaty lub spadają w przepaść bankructw. Naturalnie gromady robotników, nagle pozbawionych pracy i najniewinniejszych ofiar tej wojny, mnożą się z dniem każdym.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KREDYT LUDU WIEJSKIEGO

w KRÓLESTWIE POLSKIEM.

II.

Co się tyczy zasad, na których kasy gminne działają — nie zmieniły się one od chwili założenia. Zmiany zaszły tylko pod względem skali i terminów pożyczek. Tak jedne, jak i drugie powiększono. W tym kierunku

---

wrzucić musiał do pieca wszystko, co mniej więcej palnego znalazł pod ręką, a więc pudełka, krzesła, kartony nawet, które nawpół zwęglone znaleziono dnia następnego. O północy, temperatura bardziej się obniżyła, północny wiatr dął przeraźliwie, w lód ścinając wodę w cebrzyku i w fałdach płótna osłaniającego model. Pękała mrozem ściśnięta glina.

Wtenczas to Adryan wstał zapewne. Miał do przykrycia się tylko wełnianą kołdrę; zdjął ją, starannie osłonił swe arcydzieło i napowrót ułożył się do snu, jako tako przykrywając się pozostałym mu pledem. Pomimo to wszystko, pęknięte ramię oderwało się od posągu i padając rozbiło się w kawały. Czy Adryan słyszał ten łoskot złowrogi? Czy cios ten ostatni dotknął serce artysty? Kto wie?..

Nazajutrz Gardel, wierny danemu słowu, z samego rana udał się do mieszkania Adryana. U drzwi znalazł „ciociaro“ siedzącego spokojnie, po bezowocnem, kilkakrotnem, jak powiadał, pukaniu do drzwi.

— Co by to oznaczać mogło? — zapytywał sam siebie Gardel. Adryan zazwyczaj wstaje bardzo wcześnie.

Trwogą zdjęty, jął kołatać do drzwi, wstrząsał niemi, wołał.

— Adryanie! Otwórz mi, Adryanie... To ja!

Naprożno. Wreszcie, pod silnym naciskiem drzwi się rozwarły, łoskotem zwabieni nadbiegli sąsiedzi, stróże... Weszli...

Na ogołoconem łóżku spoczywały już tylko sztywne zwłoki Adryana.

* * *

Wszyscyśmy go widzieli, wszyscy, naszego przyjaciela i kolegę, umarłego z chłodu podczas grudniowej nocy. Na dane hasło stawili się wszyscy — nie brakło ani jednego! Tam ze czcią skupieni przy zwłokach, z których już duch uleciał, odkryliśmy to, co pozostawił po sobie, co przeżyć go miało, płód jego, jego dzieło, w którem streściło się życie artysty, któremu w ofiarze złożył on życie.

Posąg! nie, to nie był posąg — Nie, nie posąg to był, lecz raczej życiem dysząca istota! Umierający, piękny młodzieniec na skalistem łożu, z obnażonem ciałem, z głową w tył odrzuconą, z wyrazem tak głębokiego, dojmującego bólu na twarzy, w na wpół rozwartych ustach, w zamglonych oczach, iż pomimo zbliżającej się śmierci, zdawał się żyć, oddychać, istnieć... Nawet to zmiażdżone ramię potęgowało wrażenie i w przejmujący sposób wzmagało pozór prawdy i życia.

— Arcydzieło, Pawle, arcydzieło!..

Jakiem że imieniem obdarować chciał artysta tę smutku pełną postać? Co, za pośrednictwem jej wyrazić zamierzał? Czy alegoryę? Czy bohatera legendy pogańskiej lub chrześciańskiej? Hyacynta, Hylasa, Adonisa, męczennika, czy Izmaela? A może też było to wcielenie własnej jego myśli, obraz własnej duszy, nieuleczalnie i na zawsze zdruzgotanej.

Tak było najpewniej — przeto posąg ten nazwaliśmy „załością“.

Po odprowadzeniu biednego kolegi na miejsce wiecznego spoczynku, pozostał nam do spełnienia obowiązek ostatni: zapewnienie bytu kruchemu arcydziełu. On sam, testamentem przed kilku tygodniami sporządzonym, powierzył je naszym staraniom. Tak też uczyniliśmy. Z modelu, jaki pozostał, zrobiony odlew, przeniesiono do szkoły i zarazem otworzono składkę na ostateczne jego wykończenie.

Zapewniam, że żaden z kolegów, ubogi czy bogaty, żaden z artystów, znany czy nieznany, żaden z tych, do których się zwrócono, grosza nie poskąpił. To też w następnym roku posąg młodzieńca z bronzu wylany z wielką uroczystością umieszczony został na Montparnasie.

Nikt nie widział nigdy grobowca starannej pielęgnowanego. O każdej porze roku, o każdej pogodzie żywe kwiaty przystrajały jego podnóże. Kto je tu składał?

Kiedy Andrzej Bagneur, z Włoch powróciwszy, szedł po raz pierwszy na mogiłę brata, towarzyszyłem mu. Zbliżając się, spostrzegliśmy klęczącą u stóp posągu szczupłą postać kobiety, czarno ubranej. Płakała i rozpacznie załamywała dłonie. Zatrzymaliśmy się. Kobieta podniosła się z klęczek i ku posągowi nachylona, pocałunkami go osypywała, tuliła w drżących ramionach, jak tuli matka zwłoki pierworodnego dziecka. W końcu, przemocą jakby odrywając się od tych ponurych rozkoszy, oddaliła się powoli, blada i znękana, w zwojach żałobnych woalów.

Tłom. *M. Obrębska.*

przewiduje i gorąco zaleca autor dalszy postęp, a uzasadnia to dość trafnie. Zasoby kas wzrastają, a wraz z nimi, jeśli kredyt udzielony przez nie ma być istotnie rolniczym (długoterminowym), niezbędnie musi nastąpić dalsza zwyżka pożyczek, jak również przedłużenie terminów ich zwrotu. Inaczej, nagromadzone sumy spoczywać będą nieprodukcyjnie, odsetki zmaleją i przestaną zwabiać depozyty. Już na początku r. 1889 ugorem leżało 19,273 rs. gotówki we wszystkich kasach gub. siedleckiej, gdy tymczasem o rok wstecz zastój ten wynosił tylko 11,214. Wzrost sumy niezużytkowanej przez kredyt najlepiej uwidocznia się w kasach gub. radomskiej. Na początku 1896 r. sięgała ona 11,161 rs., dalej idą sumy następujących trzech lat: 15,600, 19,776, 23,655 (1889 r.). Oprócz tej okoliczności, do odnośnych przekształceń ustawy kas skłaniać winien jeszcze inny względ. Pożyczkobiercy, żeby użyć ciężaru krótkich terminów — obchodzą istniejące przepisy, ale tak zręcznie, że pozór nienaruszalności ich zachowany zostaje najzupełniej. Efekt ten osięga się sposobem uiszczeń urojonych. Osobisty rachunek dłużnika z kasą na pozór nic nie traci z swej prawidłowości: pożyczka jest wydana na termin prawny z określoną prolongatą — dług w czas, np. 1-go maja, uiszczony. Ale dość uważniej przyjrzeć się księdze, a medal ukaże swoją odwrotną stronę. Na jakiejś innej stronnicy wyrasta nowy rachunek tego samego pożyczkobiercy, gdzie pod tą samą datą wpisana została nowa pożyczka, tej samej wielkości, potem idzie drugi szereg fikcyjnych wypłat i zaciągniętych długów— aż do skutku, t. j., aż do chwili istotnego uiszczenia. Autorowi znane są wypadki, gdzie ze 157 rachunków księgi kasowej tylko 13 nie miało podobnych powtórzeń. „Nie ulega wątpliwości, wyjaśnia p. Makiejew, że w większości wypadków takie zamaskowane nadwyrężenie ustawy kas popełniane jest dla osobistej korzyści kierujących czynnościami kasowemi pisarzów gminnych, gdyż niepodobna przypuścić, żeby to działo się skutkiem bezinteresownej pobłażliwości dla pożyczkobierców, bez względu na grożącą odpowiedzialność, którą ustawa określa (art. 41).“ *) Taki stan rzeczy prowadzi za sobą mocno znamienne skutki. Z pożyczek korzystają tylko jednostki, cieszące się szczególną opieką zarządu kasowego, prawdopodobnie zamożniejsze, mniej potrzebujące od nich, które skrupulatnie są pociągane do wypłat w terminie. „Bywa niewątpliwie i tak, powiada autor, że tym niefortunnym obywatelom ich szczęśliwi współbracia udzielają od siebie pożyczek — z pieniędzy otrzymanych w kasie, ale już nie na 8%, pobieranych przez kasy, lecz za jakie 18, 20, 30%!.. Szanowny autor zapewne przesadza, bo czyż podobna przypuścić, żeby, wbrew teoryom i nadziejom niektórych naszych „nacyonalistów,“ chłop-aryjczyk aż tak dalece mógł zajść w lichwiarską dziedzinę obcoplemieńców? System przepisywania długów uważa autor za groźny dla bytu kas, a twierdzenie to opiera na losie tego rodzaju instytucyj w Cesarstwie, gdzie one skutkiem nadużycia rzeczonej zasady pochyliły się ku upadkowi.

Kasy gminne u nas najbardziej są dostępne zamożnym, a najmniej mało lub bezrolnym, dowodzi też tego sama zasada udzielania pożyczek, przepisana ustawą. Dla posiadających rękojmia jest przedewszystkiem rzeczowa. Pożyczki są wydawane na zastaw ziemi z zabudowaniem. Obecnie na mocy ustawy z r. 1889 wysokość ich nie może przesięgać $1/3$ szacunku działów włościańskich wraz z budynkami, termin jednego roku i zwłoki sześciomiesięcznej, najwyższa skala — 200 rs. Bezrolni uzyskać mogą pożyczkę za poręczeniem — rolnych.

*) Według ustawy powtórna pożyczka może być zaciągnięta dopiero po upływie miesiąca od chwili uiszczenia poprzedniej.

Z cyfr zebranych z lat 1887 i 1888 dla gub. radomskiej p. M. przychodzi do wniosku, że największa ilość pożyczek (13,705 i 3,639) przypada na kwoty od 10—20 rs., najmniej zaś, bo 102 i 116 — na sumy 80—90. Taki sam prawdopodobnie stosunek bliższe zbadanie (autor nie rozporządzał danemi pod tym względem) ujawniłoby i co do innych gubernij Królestwa Polskiego. Co się tyczy bezrolnych, to oni w tejże gubernii otrzymali pożyczek w r. 1887 tylko 152, a w 1888 — 162. Ponieważ wszystkich kas tam jest 122, wypadnie więc, że zaledwie jeden z ułamkiem proletaryasz rolny miał dostęp do każdej kasy. Należałoby ostrożnie przyjmować te wywody autora, jako na krótkim okresie czasu oparte, a zatem niezupełnie wolne od czynników przygodnych, gdyby nie to, że już w r. 1870 komitet urządzający przyszedł był do wniosku, iż stosunek pożyczek udzielonych na zastaw gruntów do uzyskanych za poręczeniem miał się tak, jak 25 : 1. Obecnie zaś, przynajmniej co do radomskiego, które autor miał sposobność głębiej poznać, stosunek ten da się wyrazić, jak 70:1!

To upośledzenie gołyszów rolnych p. M. zaznacza tylko, lecz środków zaradczych nie szuka i słusznie, bo w kasach gminnych nie znalazłby ich. Natomiast, o ile ma na myśli dalsze udogodnienia drobnego kredytu dla zamożnych i średniozamożnych włościan rady jego nie są pozbawione praktyczności, Idzie mu o to, żeby, korzystając z dotychczasowej gwarancyi hypotecznej włościan rolnych, pozwolić im zaciągać w kasach pożyczki do połowy wartości majątku na dłuższy termin, przy powtórnem zgodniejszem z rzeczywistością oszacowaniu ziemi. Zagadkę zaś podniesienia skali jednorazowych pożyczek poleca rozwiązać według wzoru nastręczonego przez bank Arakczejewa, w którym niezamożni włościanie korzystali z pożyczek bezprocentowych, bogaci zaś płacili większe odsetki t. j. przy pożyczkach 200, 300 itd. rublowych. Gdy się zważy, iż 200 rs. włościanin pożycza nie na zakupno nasion i opłatę podatków, lecz na większe potrzeby gospodarcze ulepszeniowe np. na poprawę gruntu, inwentarz, wymagane przez p. M. podniesienie rozmiarów pożyczki udzielonej przez kasy gminne okaże się zrozumiałem.

Nie ulega wątpliwości, iż pomimo swych obecnych wad, kasy gminne są wybornym środkiem, przeciwdziałającym rozwojowi lichwiarstwa wiejskiego. Żeby powziąć wyobrażenie, ile one zaoszczędzają ludności wiejskiej pieniędzy, weźmy na przykład gubernię radomską. W latach 1887 i 1888 wszystkie kasy tameczne wydały ogółem w drodze pożyczek 915,232 rs. Przyjąwszy, jak to zresztą udowodnił autor, że 18% stanowi przeciętny haracz opłacany przez włościan osobom prywatnym, ujrzymy, iż kasy, które poprzestają tylko na 8%, ocalają pożyczkobiercom 10%, a w stosunku do całej sumy — 90,000! Kasy więc w miarę rozwoju nie tylko zwężają pole operacyj prywatnych kapitalistów, lecz zniżają przeciętny poziom odsetek. Na dowód powołuje się autor na gubernię saratowską, gdzie przed wprowadzeniem kas gminnych procenty „kułackie“ wynosiły 22% i 34%, gdy dziś sięgają już tylko 18%. Doniosłość tych instytucyj najlepiej ocenili sami lichwiarze. W chwili założenia kas w Królestwie Polskiem zdarzało się nieraz, iż na zebraniach gromadzkich włościanie bali się postanawiać uchwały o potrzebie uzyskania od rządu pożyczki na otwarcie kasy. Wynikało to ztąd, iż bogaci członkowie gromady wiejskiej, którzy trudnili się lichwą, nie życzyli sobie, ażeby pieniądze dochodziły do rąk niezamożnych włościan nie przez ich pośrednictwo.

Ścieżki, wiodące do mieszków robigroszów sielskich, niezupełnie jeszcze zaniechane zostały we wsi polskiej dla gościnców, prowadzących do ognisk zorganizowanego kredytu. Sprawa więc prywatnego obdłużenia włościan nie znikła z widnokręgu drobnej własności. Ta strona bytu ekonomicznego włościan najmniej została zbadaną, dlatego też nawet tak drobne wyniki badań w tej mierze, jak p. Makiejewa, mają pewne znaczenie. Jakkolwiek najpewniejszym sposobem zgłębienia tak ciemnego przedmiotu, jak prywatne obdłużanie ludu wiejskiego, polega na systematycznem wypytaniu wszystkich gospodarzy o wielkości ich długów, przyczynach pożyczek, źródłach, z których są dokonywane, wysokości procentów, stanie majątkowym dłużników itp., to jednakże ze względu na niedościgłość tego zadania dla pojedynczego wysiłku, autor obrał inną drogę, mniej dokładną, lecz pozwalającą dotrzeć przynajmniej do względnej prawdy. Ograniczył się on tylko do gub. radomskiej, w której z każdego jej powiatu wybrał po trzy osady, wyróżniające się od siebie skalą dobrobytu (niezamożne, średniej zamożności i najzamożniejsze) i poddał je zosobna zbadaniu szczegółowemu. Za podstawę takiego podziału trojakiego przyjął autor ilość niedoborów skarbowych, ciążących na każdej osadzie, oraz znajomość stanu majątkowego. Szczupłość miejsca nie pozwala nam rozszerzać się nad wszystkimi wynikami otrzymanymi tą drogą — zaznaczymy więc tylko niektóre. Z liczby 543 wypytanych gospodarzy długi prywatne przypadają na 250, tj. około 46%. Ilość posiadanej przez nich ziemi wynosi 2,153 morgów, długu — 19,286 rs. 76 kop., czyli na każdego wypada 77 rs. 14 k.; ponieważ średnio biorąc, każdy ma 8 morgów 183 prętów gruntu, obdłużenie więc względnie do morga wyniesie prawie 9 rs. Ciekawe są źródła pożyczek. Na 250 prywatnych pożyczek przypada zaciągniętych u dworu 3, u żydów 41, u włościan zamożnych 185 itd. Wyrażając procentowo, wypadnie, iż pożyczki udzielane przez żydów wynosiły tylko 17%, gdy znów przez lichwiarzy chrześcian (zamożnych chłopów) — prawie 74%! Co do powodów, które zniewoliły rzeczonych 250 gospodarzy uciec się do pożyczki, 32 zaciągnęło ją na kupno ziemi, 22 z przyczyny działów familijnych, 32 na odnowienie starego domostwa i budowę nowego, 23 na zakupno bydła, 32 na wesele itd. Przeszło $1/5$ wszystkich pożyczek zaciągnięto albo z powodu ziemi lub spłat w czasie działów familijnych. Zaspokojenie pierwszej potrzeby jest obecnie zadaniem Banku włościańskiego, ale druga pozostaje dotąd bez podpory kredytu zorganizowanego, wystawiona na łup lichwy.

Wracając do kas gminnych, zaznaczyć należy jeszcze, iż autor, przedstawiwszy wprzód świetność ich rozwoju, zwraca słuszną uwagę na nową rolę, otwierającą się dla nich wobec działalności u nas Banku włościańskiego, rolę — egzekutorek tej instytucyi, w potrzebie, wywłaszczycielek nawet. Idzie o to, iż pożyczkobiercy Banku, zadłużywszy się już uprzednio w kasach, zechcą do nich udawać się o uzyskanie nowych pożyczek na 10% dopłaty, wymagane od nich przez Bank do 90% pożyczki na kupno ziemi. Pzy rozrachunkach terminowych z jedną instytucyą i drugą łatwo znaleźć się mogą oni w położeniu niewypłacalnych.

Nam znów nasuwa się jeszcze inna uwaga. Kasy gminne, jak to widać z pracy p. M., dosięgają prawie szczytu swego rozwoju i stanęły już na niezachwianej podstawie. Zachodzi pytanie, czy nie zbliżyła się już chwila, kiedy wolno będzie rozwinąć się na naszym gruncie drobnomieszczańskiemu kredytowi na podstawie spółdzielczości?..

Zyg. Piet.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 10 października.

Na chmurnym horyzoncie naszego życia publicznego przebiegają błyskawiczne zygzaki, zwiastujące elektryczne odświeżenie atmosfery. U dołu zaczyna się budzić poczucie świadomości drzemiących w łonie „masy“ sił, a nawet u góry, gdzie czuć się już dawał zapach próchna i rozkładu, widać zmianę stosunków. Przekonywa o tem następujący głos szlachcica, uderzający w starą blachę herbową. „Chociaż jestem szlachcicem najczystszej wody z rodowym klejnotem „Nałęcz,“ czuję się zobowiązanym pojęcia dobrze urodzonych sprostować i zadarte ich nosy nieco w dół pokierować“; Braci, która nic zgoła robić nie chce i nie umie, upatrując w próżniactwie swoją wyższość nad narodem, radzi ten szlachcic poznać swoję wartość w szklance piwa, nad którem wznoszą się tylko: „szumowiny“ lekkie, bez smaku i pożywności, do niczego nieprzydatne, a usiłujące zawsze być po nad płynem, który je zrodził.

Występując przeciw gnębieniu pracy przez „feodalizm pieniężny,“ smaga osobliwie swoich kolezków, którzy tworząc różne „groszołówki“ pod nazwą towarzystw finansowych, wykradają krwawy grosz ludu, nie wstydząc się opinii narodu, albo włócząc się po Afryce, Francyi, Monaco itd. polują na lwy, kurtyzantki, ruletę, łamią karki po wyścigach zagranicznych lub tracą krociowe majątki, a dla pracy i dobra narodu nie poświęcają ani centa. „Nie dla robotników więc — kończy szlachcic — zmuszonych włóczyć się w celu znalezienia pracy, ale dla takich zagranicznych włóczęgów nadaje się najwłaściwiej ustawa o włóczęgostwie.“ W coraz szerszych warstwach szlachty budzi się potrzeba obrony podstaw społecznych, konieczność większej odporności narodowej na zewnątrz, a podniesienia groźnych stosunków ekonomicznych wewnątrz. W kraju, gdzie rolnictwo jest najważniejszą gałęzią gospodarstwa narodowego, a rolnicy powołani są do najwybitniejszego udziału w życiu publicznem, wysuwają się na pierwszy plan sprawy ziemiańskie. Niedawno obradowała komisya o utworzeniu *izb rolniczych*, których zadaniem jest wypracowanie odnośnego projektu ustawy. Zakres działania owych izb obejmować ma, na podobieństwo handlowych, reprezentacyę i popieranie interesów stanu rolniczego. Liczba członków izby wynosić ma około 50 osób, obieranych na lat sześć, oprócz wydziału z całej hierarchii biurowej. Na pokrycie zaś wydatków kosztownej machiny szlacheckiej ma ona prawo uchwalać „dodatki do podatku“ gruntowego — do wysokości 2 cnt. od złotego. Dla skutecznej zaś obrony swych interesów klasowych otrzyma każda prawo wysyłania jednego posła na sejm krajowy. Do podniesienia stanu rolnictwa służy także świeżo otwarta akademia rolnicza przy uniwersytecie krakowskim. Uwzględnienie szersze, niż w jakiejkolwiek dotąd istniejącej szkole rolniczej, nauk prawnych i politycznych stanowi właściwą cechę organizacyi krakowskiego Studyum rolniczego i ma czynić zadość potrzebie wykierowania ozłoconych próżniactwem paniczyków na obywateli, na których ciążą twarde obowiązki.

Kiedy więc „na zagładę skazani“ wzmacniają swoje szeregi u podstaw — wdziewając żelazną zbroję nauki — organizują się maluczcy w drobne „kółka“ i „spółki,“ występując z coraz silniejszą świadomością swych praw i obowiązków społecznych. Właśnie przed dwoma tygodniami odbył się doroczny zjazd kółek rolniczych, o których wspomniałem w jednym z poprzedzających listów. Zawiązane na wzór wielkopolskich, pokrywając gęstą siecią Galicyę zachodnią, mają już swoją historyę. Nie trudno zrozumieć, z czem walczyć musieli założyciele, którzy rozpoczęli kręcić bicz z piasku, bo oprócz silnej woli i kilku gorących serc, nie mieli żadnych zasobów. Wśród ogólnej apatyi zdobywali ziarnko po ziarnku nietylko środki materyalne, ale i teoryę, która im umożebniła poznanie różnorodnych warunków gospodarki włościańskiej na całym obszarze kraju. Kto się bliżej przypatrywał ruchowi tych drobnych kółeczek od ich zawiązania, ten ma niezbite dowody przed sobą, jaki plon przyniosła ta praca. Każdy z nas pamięta jeszcze owe przedpotopowe pługi drewniane. Do roku 1870 pług żelazny należał nietylko u włościan, ale i w większych posiadłościach do niepowszednich wyjątków. Dziś, gdzie tylko lemiesz zaryje chociażby tylko pod lichy owies lub hreczkę w górach, nie ujrzysz już tego zabytku, pługa u którego odkładnicę zastępowała deska blizko metrowej długości. A od lat kilku zarzucają już włościanie nawet ruchadło żelazne, partaczone przez domorosłych kowalów; nie żałują nakładów, aby tylko zdobyć pług odpowiedni do własnej gleby. Ośm lat wstecz np. włościanina, posiadającego sieczkarnię mechaniczną, pokazywano sobie palcem. Od tego czasu, ktokolwiek jeździ liniami naszych kolei galicyjskich, widzi na licznych stacyach po kilka, a nawet kilkanaście egzemplarzy tych sieczkarń włościańskich, które fabryki wysyłają setkami. Doszło do tego, że rolnik, posiadający zaledwie cztery morgi ziemi, ma sieczkarnię, której użytek uwalnia go od mozolnej pracy i straty czasu. Zobaczył on u sąsiada, który się odważył na udział w walnem zebraniu Kółek rolniczych, młynki do czyszczenia zboża, pług, siekacze do buraków lub innych roślin okopowych. Naturalnie zeszła się cała gmina, aby widzieć tę zdobycz i przekonawszy się znowu o jej praktyczności, zasobniejsi i odważniejsi nie poskąpili grosza na nabycie tych przyrządów. Znam włościan siedzących na kilkunastu morgach gruntu, którzy kupiwszy ręczne, a nawet jednokonne młócarnie, otwierają oczy innym, jak marnowali dotąd drogi czas i siły, i jakie stąd ponosili straty. Postęp ten jest niezaprzeczoną zasługą zarządu Kółek rolniczych. Podnieść też winniśmy rozbudzenie postępu w użyźnianiu ziemi przez włościan. Na najdotkliwsze straty w gospodarstwie rolnem naraża zacofanie w przysposobianiu nawozu. Do niedawna użytek mielonych kości był znany zaledwie w kilku postępowych gospodarstwach większych. Dziś zrozumieli tę potrzebę i włościanie, a w powiecie sanockim, krośnieńskim, zasielskim zapotrzebowanie mączki kościanej objawia się w zadziwiających rozmiarach. Chcąc ruch ten postępowy między ludem przyśpieszyć, nie należy posługiwać się samą „oświatą,“ bo to tylko ostudzić może dobre chęci u jednych, a nie przełamie obojętności u drugich. Kto zna naturę naszego włościanina, ten wie, że słucha on chętnie wszystkiego, co mu się opowiada lub czyta, potakuje i przychwala, lecz doznając rozczarowania przez całe życie, nigdy nie uwierzy, dopóki się namacalnie sam nie przekona o istotnym pożytku nowości, dopóki nie obejrzy jej ze wszystkich stron, nie dotknie, a w końcu nie zrobi rachunku, że mu ona korzyść przyniesie. Skoro obaczy zysk, nie waha się przed nakładem, a nawet ofiarą. Naturalnie, że polepszenia te, które w uprawie roli zawdzięczamy działalności Kółek, nie zmienią stosunków ekonomicznych Galicyi. W skutek nieprawidłowego płodozmianu doprowadzono u nas ziemię do takiego stopnia nieurodzajności, iż w końcu zasilona chociażby podwójną, potrójną ilością nawozu, zwanego obornikiem, nie wyda ziarna, ale tylko bujną słomę, zwracając zaledwie koszty nakładu. Wyjałowienie to skutkiem rabunkowej gospodarki jest główną przyczyną, że dzisiaj gospodarstwo rolne, oparte na produkcyi ziarna, staje się coraz więcej niemożebne. Jeżeli właściciel sam nie może przy największych wysileniach wydobyć więcej, niż 4 procent z gleby, to cóż mówić o dzierżawcach mniejszych! Słusznie też powiadają, że dzierżawa ziemi równa się obecnie hazardowi loteryjnemu. W narodzie przeważnie rolniczym objaw taki — to straszna zmora i widoma otchłań, której pomimo wszelkiego szamotania się uniknąć nie można.

Podczas ostatniego zgromadzenia kółek w Stanisławowie zwrócono uwagę ich zarządu, jako na otwarte pole do zasług, na t. z. tłoki gminne. Są to ogromne obszary pastwisk, na których nie rośnie żadna trawa, ale tylko rude, ciemne mchy, przeplatane kretowiskami. Tak się przedstawiają te tłoki na równinach w okolicach podgórskich; pokryte one są dzikim jałowcem, cierniem lub krzakami dzikiej róży. Na całym obszarze kraju leży parę kroć tysięcy morgów tłok, przedstawiających jedynie nędzę i nieporadność naszego gospodarstwa włościańskiego. Dziś gdy rolnik nasz bardzo mało może liczyć na dochody ze sprzedaży ziarna, a główną podstawą dobrobytu jest dlań hodowla bydła, wobec takiego stanu pastwisk wszelkie, chociażby najkosztowniejsze próby uszlachetnienia ras inwentarza, sprowadzania kosztownych stadników są tylko ironią, gdyż każdy rozpłód znaleźć musi przedewszystkiem warunki do wyżywienia i rozrostu. Brak paszy jest główną przyczyną tego, że nasi włościanie sprzedają niezliczoną ilość cieląt, kilku lub kilkunastodniowych. Marnowanie to inwentarza żywego nie praktykuje się nigdzie w Europie, a na takiej gospodarce traci kraj miliony.

Jeszcze naglejszą sprawą jest stworzenie wzajemnej organizacyi kredytowej dla wzmagających się potrzeb stanu rolniczego. W tym przedmiocie wystąpił na walnem zgromadzeniu dr. Stefczyk, zalecając w gorących słowach zaprowadzenie po wsiach spółek Reiffeisena. Starły się tu dwa obozy, dwie wprost przeciwne sobie opinie. Jedni twierdzą, iż stan nasz włościański nie posiada żadnych potrzeb kredytowych, albowiem ani wykształceniem, ani ekonomicznem wychowaniem nie osiągnął dotychczas takiego stopnia rozwoju, jaki jest koniecznym warunkiem pożytecznej działalności zakładów kredytowych. Opierając się na obserwacyi w zakresie najbliższych mu stosunków wiejskich, utrzymują oni, iż łatwość uzyskania pożyczek, okazała się wprost zgubną dla włościan, prowadzących do lekkomyślnego nadużywania kredytu, do groźnego obdłużenia posiadłości, ostatecznie zaś do wyzucia chłopa z ojcowizny przez lichwiarzów wiejskich, nabywających za bezcen licytowane grunta i zagrody włościańskie. Z innego założenia wychodzi obóz drugi. Przyznając do pewnego stopnia szkodliwość łatwej sposobności zaciągania długów, twierdzą zwolennicy drobnych zakładów kredytowych, iż wobec prawnej swobody pożyczek niepodobna ochronić chłopa od długów. Należy tedy starać się jedynie o to, ażeby miejsce lichwiarzów, nadużywających swej przewagi ekonomicznej oraz chwilowego kłopotu dłużnika, zajęły banki ludowe, które udzielałyby kredytu taniego, postępując z możliwą względnością i licząc się do pewnego stopnia z każdoczesnem położeniem swoich klientów. Pod hasłem ratowania małomiejskiej i wiejskiej ludności przed lichwą, zawiązały się też w ciągu ubiegłych lat kilkunastu liczne Towarzystwa zaliczkowe, powiatowe kasy oszczędności, itp. tak, ża mamy dziś około 70,000 rolników korzystających z usług tego kredytu. Tymczasem budzić się w kraju zaczyna i ogarnia coraz szersze sfery przekonanie, iż ani bezczynność w dziedzinie stosunków kredytowych jaką zalecali jedni, ani panowanie tych podejrzanej nieraz wiary Towarzystw i kas

zaliczkowych nie może wystarczyć potrzebom ludności wiejskiej. Dr. Stefczyk, który sam zawiązał pierwszą w Galicyi spółkę systemu Reiffeisena w Czernichowie, zaleca przedewszystkiem zakładanie takich spółek w całym kraju, jako najlepszej formy organizacyi finansowej dla włościan. One bowiem działają w małych okręgach, w obrębie jednej parafii, gdzie się członkowie spółki dobrze znają, wiedząc, co który z nich wart. Dostają więc pożyczkę tacy, co jej chcą i potrafią użyć na dobre. Otrzymanie pożyczki oraz jej spłata są ułatwione i nie wymagają kosztów, ani zachodu. Raty i terminy zwrotu są dla dłużnika wygodne i odpowiadają jego stosunkom gospodarczym. Kontrola nad użyciem pieniędzy pożyczonych jest ciągła, bo na to wszyscy patrzą, a czuwa zarząd i Rada nadzorcza, która poręcza również pieniądze kasy swymi majątkami. Czem zaś spółki Reiffeisenowskie przedewszystkiem górują nad wszystkiemi instytucyami kredytowemi, to pierwiastkiem moralno-religijnym, który w niej wlał szlachetny ich twórca. Czuwając one nietylko nad rzetelnością dłużnika, ale wpływają też na wytworzenie się poczucia uczciwości i ambicyi; każdy bowiem dłużnik lęka się złej opinii o sobie, gdyby terminu niedotrzymał, widząc, że wszystko dzieje się w oczach wszystkich i że taką wagę ma rzetelność. Owoce działalności tej instytucyi na naszym opoczystym gruncie są zdumiewające. W przeciągu pół roku wzrosła liczba członków pierwszej spółki z 33 do 115, Samych wkładów oszczędności wniesiono do października b. r. przeszło 9,000, a w ¾ częściach pochodzą one od włościan parafii czernichowskiej. Pożyczek udzielono 76 w kwocie przeszło 8,000 zł. Wielu członków zaopatrzyło się za pomocą tych pożyczek w inwentarze, paszę lub nasiona. Ośm domów i kilka stodół powstało za pieniądze lub przy pomocy spółki, dwie cegielnie, założone i prowadzone przez członków Kółka zasila spółka w kapitał obrotowy i obie zamkną roczny rachunek pokaźnym zyskiem. Przedsiębiorstwo wypalania wapna i sprzedaż węgla, prowadzone przez spółkę włościańską, korzysta też obficie z tego kredytu — a nie mniej, niż 15 uciążliwych długów lichwiarskich, spłaciła kasa spółki czernichowskiej swoim członkom. Spółka spełnia też doniosłe zadanie społeczne. Skupia ona wszystkie siły mieszkańców parafii bez różnicy stanu i zawodu do wspólnej pracy około wspólnego dobra. Żałować można, że ani przykład tej spółki, ani wniosek dr. Stefczyka, uzasadniający potrzebę ożenienia Kółek rolniczych z podobnemi kasami spółkowemi dla wytworzenia silnego i obywatelskiego potomstwa między ludem nie znalazły poparcia u starzejącego się już głównego zarządu Kółek. Jeżeli jednak zdanie prezesa da się wytłómaczyć jego wiekiem, to wniosek krewkiego i znanego z antisemityzmu Merunowicza, zagważdżający całą sprawę, wygląda na kpiny. Powiada on: „założcie kilka spółek Reiffeisenowskich na próbę, a zarząd Kółek będzie się przypatrywał, czy nie zbankrutujecie. Jeżeli wytrwacie, podamy wam dłoń braterską."

To tak wygląda, jakbym przyjacielowi, o którym nie wiem, czy umie pływać, doradzał pójść na głęboką wodę, a przypatrywał się z brzegu, czy on nie utonie, albo co najwięcej pokazywał mu ruchy, jak ma pływać...

Beta.

LISTY WIEDEŃSKIE.

1 października.

Z dziejów zepsucia.

Przed pół rokiem przeszło dziennik klerykalno - antisemicki *Vaterland*, którego protektorami są ks. Lichtenstein i ks. Belcredi, a najserdeczniejszymi przyjaciołmi Lueger i Pattai, ogłosił olbrzymiemi plakatami, że najbliższy numer jego zawierać będzie artykuł p. t. „Jedwabny sznur z dziejów zepsucia." Jedwabny sznur, który *Vaterland* tureckim sposobem ofiarowywał do wiadomego użytku, dostał się w udziale baronowi Scudierowi, dymisyonowanemu feldzeugmeistrowi i prezydentowi towarzystw kolei państwowych. Artykuł ten, napisany z niesłychaną zręcznością, zarzucał Scudierowi szereg czynów niezgodnych z honorem uczciwego człowieka i obowiązkami byłego urzędnika państwowego. W imieniu Scudiera słynny adwokat dr. Kopp wniósł skargę, a proces sądowy wyjaśnił całą sprawę, rzucając równie niekorzystne światło na oskarżyciela, jak na oskarżonych. Scudier, dosłużywszy się na polach bitew wysokiej w armii rangi, zamianowany został komisarzem królewskim na pograniczu tureckiem, urządzonem do niedawna zupełnie na sposób stacyi wojskowej; w ostatnich czasach dopiero pogranicze to objęły Węgry. W czasie rządów Scudiera znany przedsiębiorca Tatartry, będący później dyrektorem Carltheatru wiedeńskiego, zbudował tamże zakład kąpielowy, który zasłynął pod imieniem „Herkulesbad." Było to przedsiębiorstwo rokujące wielkie zyski; rząd, dobrze o tem wiedząc, sprzedał był Tatartremu grunta pod niesłychanie uciążliwymi warunkami: zobowiązano go do wystawienia pewnej liczby budynków w krótkim stosunkowo czasie, do zatrudniania w zakładach kąpielowych żołnierzy wysłużonych itp. Mówią, że baron Scudier ułatwiał Tatartremu prowadzenie przedsiębiorstwa orędownictwem u rządu węgierskiego i austryackiego; istotnie, trudne warunki pierwotne zostały zmienione następnie na łagodniejsze. Mówią dalej, iż Tatartry, odwdzięczając się komisarzowi królewskiemu, zapisał mu 100,000 zlr., nie będąc w stanie wypłacić tej sumy gotówką. Scudier zaś twierdzi, że widząc Tatartrego, z którym był zaprzyjaźniony, w kłopotach, pożyczył mu 100,000 zlr. Świadkowie, którzy dokument odnośny podpisywali, nie znali jego treści. Świadomi stosunków austryackich nie wątpią ani na chwilę, że owych 100,000 zlr. było łapówką daną Scudierowi przez Tatartrego, któremu wody Herkulesowe istotnie olbrzymie przynosić zaczęły dochody. Lecz Tatartry umarł, a obecnie wprost niepodobna dowieść, jak sprawa ta wyglądała.

Mimo to *Vaterland*, którego programem jest walka z zepsuciem w imię zasad chrześciańskich, odważyło się na atak. Bezpośrednim powodem tego kroku miały być niesnaski między Lichtensteinem a Scudierem, oraz okoliczność, że ostatni, jako prezydent towarzystwa dróg państwowych, zawisły od wielkich kapitałów żydowskich, surowo występował przeciw antisemityzmowi i wydalał z biur kolei wyraźnych antisemitów. Samo podniesienie tej sprawy, mimo niedostatecznego materyału, wobec faktu tak w oczy bijącego, powinno było zdobyć sympatyę publiczności dla śmiałych oskarżycieli. Lecz proces sądowy okazał dziwne zjawisko: zarówno ława przysięgłych, jak publiczność były od pierwszej do ostatniej chwili po stronie Scudiera a przeciw redaktorom *Vaterlandu* i ich obrońcom, Pattaiowi i Luegerowi. Należy to przypisać tej okoliczności, że owi przeciwnicy zepsucia bynajmniej sami nie są ludźmi czystymi, lecz raczej narzędziami w ręku wyższych potęg, niemniej zakażonych, i to narzędziami wielce podejrzanego gatunku. Już sam sposób, w jaki artykuł był napisany: unikanie otwartego wystąpienia w imię prawdy, a podsuwanie mnóstwa podejrzeń niewyraźnych i szkalowanie wojskowego honoru generała, bądź co bądź zasłużonego jako żołnierza, budziło niechęć. Przebieg procesu zaś wykazał tyle kłamstw i kroków brzydkich, poczynionych przez redaktorów *Vaterlandu*, zachowanie się ich w sądzie było tak dalece nieodpowiedniem i grubijańskiem, że cała ta sprawa, po której klerykałowie obiecywali sobie tryumf nad liberałami, zakończyła się ich klęską. Scudier otrzymał zadośćuczynienie publiczne, autora artykułu bowiem skazano na 8 miesięcy więzienia. Niezręczny żołdak reakcyjny uwił tedy sam dla siebie sznur jedwabny, walka z zepsuciem zaś bynajmniej nie upadła: do niej należy przyszłość, lecz ci, którzy zwycięzko je przeprowadzą, będą ludźmi innego pokroju, aniżeli ci pseudo-apostołowie prawdy i odrodzenia moralnego.

Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

POWSTAWANIE GATUNKÓW.

(Według M. Wagnera).

Wagner był jednym z owych przyrodników niemieckich, którzy przyjmując w głównym zarysie teoryę Darwina, zarzucali jej pewne niedostatki i błędy, a o poprawę kusili się na podstawie własnych studyów i obserwacyi. Wielu z nich zrezygnowało powoli z nadziei uzupełnienia nauki Darwina; Wagner zaś gorliwie oddawał się badaniom do śmierci i umarł w przekonaniu, że istotnie dokonał dzieła zamierzonego. W ciągu długiego życia wydał cały szereg rozpraw, a przed samą śmiercią napisał cenny traktat „O chowie kulturalnym człowieka w przeciwstawieniu do chowu naturalnego w królestwie zwierzęcem." W testamencie zaś polecił bratankowi D. M. Wagnerowi, żyjącemu w Baden obok Zurychu, ażeby ten wydał jego spuściznę literacką, oraz zebrał wszystkie artykuły i rozprawy o teoryi powstania gatunków. Bratanek dokonał zadania tego sumiennie jako człowiek fachowy, uzupełniając pracę stryja rozprawą, w której wskazuje szereg najnowszych badań, popierających teoryę nieboszczyka.

Imię tego uczonego nie jest może znane szerszym kołom czytającej publiczności. Wagner pochodzi z rodziny, która wydała kilku sławnych uczonych. Rozgłośny Adolf, profesor ekonomii na wszechnicy berlińskiej i były doradca społeczno-polityczny Bismarka, jest jego bratankiem; Rudolf zaś, fizyolog, przeciw któremu zwracał się Karol Vogt w słynnej rozprawie polemicznej „Köhlerglaub und Wissenschaft," jest jego bratem. Jako przyrodnik, polityk i myśliciel Wagner prześciga znacznie swych krewnych; przewyższa ich też pięknością stylu. Po raz pierwszy rozsławił swe imię w świecie uczonych, opisem dwuletniej podróży po Algierze, w latach 1836 — 1838. Wówczas udało się młodemu uczonemu zostać członkiem komisyi naukowej, która z francuskim sztabem generalnym udała się najpierw do Konstantyny, następnie do Belidy i Reghai. Znakomity opis przyrody afrykańskiej, oraz stosunków politycznych i gospodarczych zdobył mu wówczas uznanie powszechne. Aczkolwiek Wagner obeznany był z wszystkiemi gałęziami nauk przyrodniczych, wówczas już zajmował się głównie rozmieszczeniem geograficznem organizmów zwierzęcych. Zwiedzając następnie kraje leżące nad brzegami morza Czarnego, Kaukaz i Persyę, Stany Zjednoczone Ameryki północnej, rzeczpospolite Ameryki środkowej, wyspy zachodnio-indyjskie i inne części kuli ziemskiej, zbierał materyał, studyował zwłaszcza wpływ granic i przegród, a więc mórz, gór, pustyń i rzek, na geograficzne rozmieszczenie fauny. Rezultatem tych długoletnich obserwacyj, było to t. zw. "prawo migracyi," które Wagner przeciwstawia teoryi doboru, jako główną przyczynę nowych gatunków.

Jeszcze w r. 1836 nauważył w Algieryi, że strumienie spływające po północnej stronie Atlasu, przeszkadzają rozszerzaniu się pewnej ilości zwierząt. Wnosi on tedy, że rzeki, góry i morza stanowią linie demarkacyjne dla rozmieszczenia pewnych gatunków lub odmian, i twierdzi, że wysokie pasma gór tamują bardziej migracyę zwierząt, aniżeli rzeki, morza bardziej — aniżeli góry. Po obu stronach owych linij demarkacyjnych spotyka się często gatunki podobne, a jednak pod wieloma względami różne. Samą dążność migracyjną organizmów tłomaczy Wagner, podobnie jak Darwin, potrzebą utrzymywania i rozmnażania się. Ale podczas gdy według Darwina gatunki zmieniają się tylko wskutek bezustannego doboru osobników odpowiednich, odosobnienie emigrantów zaś dla chowu naturalnego bynajmniej nie jest koniecznem, Wagner twierdzi, że kształtowanie form w świecie organicznym odbywa się pod wpływem dziedziczności i tendencyi do odmiany (Variationstendenz). Skoro pewna ilość osobników odchodzi daleko od głównego siedliska gatunku, odpadają skutki krzyżowania się rozlicznych osobników, łączenie się najbliższych krewnych zaś potęguje własności indywidualne osobników oddzielonych. Zmiana warunków zewnętrznych i swobodne rozmnażanie się typu niezmuszonego jeszcze do walki o życie z towarzyszami ułatwia wyrobienie różnic morfologicznych. Gdy więc według Darwina przyroda za pomocą walki o byt wytwarza bezustannie nowe formy typowe organizmów drogą doboru odmian dzielnych, zdaniem Wagnera nowe formy powstają tylko peryodycznie i to zawsze po za granicami pierwotnego siedliska starego gatunku, wskutek odosobniena geograficznego i kolonizacyi. Wagner sprzeciwiał się też hipotezie Darwina, że człowiek powstał już w okresie eocenicznym z małp (?) afrykańskich; do dziś nie znaleziono jeszcze ani śladu małpoluda z owego okresu, a według Wagnera człowiek pierwotny zrodził się z antropoidów w okresie miocenicznym, dzięki nastaniu lodowego, który głodem i mrozem spotęgował przemyślność małp, zmusił ich do pożywienia mieszanego i nasunął im potrzebę używania broni kamiennych i ognia.

Wagner rozpoczął walkę z darwinizmem rozprawą p. t. „Der Irrthum des Darwinismus.“ We wszczętym sporze przytaczał króliki na Porto Santo, które dzięki odosobnieniu kilku kolonistów, należących do południowo-europejskiego gatunku *lepus caniculus*, na samotnej tej wyspie rozwinęły się w sposób odmienny. Wyspa ta leży obok Madery; króliki żyjące tam niemal wcale nie były narażone na walkę o byt, a jednak przekształciły się znacznie, podczas gdy królik południowo-europejski, mimo walki o byt z towarzyszami i wrogami, stałych odmian nie posiada. W najnowszych czasach słynna „Challenger-expedition“ odkryła liczne fakty, popierające teoryę Wagnera w odniesieniu do organizmów morskich. Osobniki, które przeniosły się do cieplejszej lub zimniejszej warstwy wodnej, napełnionej większą ilością soli lub wapna, odmieniły się morfologicznie; zoologowie tej wyprawy stwierdzili wogóle znaczną emigracyę wyższych warstw morskich do głębin.

Ernest Haeckel, najzagorzalszy apostoł darwinizmu, oświadczył przy końcu walki, że darwinizm za mało uwzględniał samoistne skutki migracyi, podczas gdy Wagner zbyt mało wpływu przypisuje doborowi i chowowi naturalnemu. Słowa te zawierają pewną prawdę co do stosunku obu teoryj, które uzupełniają się w gruncie rzeczy. Sam Darwin, skromny i zawsze o stronę przedmiotową dbały, żywo interesował się teoryą uczonego niemieckiego i wyrażał się o badaniach jego z uznaniem. *L.*

LITERATURA I SZTUKA.

ŚRÓD MUZ.

VI.

Dziwi mię, że Towarzystwo Zachęty nie żąda... metryki i nie oznacza popisowego wieku. Byłoby to całkiem zgodne z zasadami superrewizorów i uchroniłoby salon od obecności takich młodocianych artystów jak p. Rapacki, który z czasem może się stać nie bardzo uległym formułkom i odmówić posłuszeństwa sędziom. Jego obraz „Pustkowie“ już zdradza pokusę lekceważenia pospolitości: brakiem wszelkich tanich ozdób i pogonią za prawdą natury, zaś „O świcie,“ płótno większych nieco rozmiarów, daje sporo do myślenia o dalszej karyerze debiutanta. Ów brzask poranka, pełen unoszących się wszędzie oparów mokrych, ze swemi blednącemi resztkami nocnych świateł w odległych siedzibach ludzkich, jest nam znajomy, szczery i prawdziwy aż do przejmowania lekkim dreszczem chłodu, a stary robotnik, co dążąc do fabryki, pokazuje swój smutny, spracowany i zacny profil, choć nie jest pomysłem nowym, przemawia bardzo do duszy. Szczęśliwa to w każdym razie i nieźle wystudyowana próba...

Z kilkudziesięciu innych krajobrazów dałoby się jeszcze wyróżnić parę. Smacznie jest malowana błękitnawa zatoka morska p. Alchimowicza, z tonem zdrowym, dostatecznie zimnym, i przyjemnie wabią oko puszyste kępy zarośli i bujna trawa w „Przechadzce“ Owidzkiego; motyw jej niewyszukany z charakterem zacisza ustronnego, które zaprasza do użycia w wysokiej murawie *dolce far niente* może się bardzo podobać i upiększać ściany saloniku. Zdzisława Jasińskiego zagony z pielącemi w nich dziewczętami, obwiedzone kątem z dwu ścian lasu, są w rzeczy samej „z naszych stron,“ ale zdaje mi się że oddano je trochę za miękko, a przytem nie podnosi bynajmniej naturalności ten ważny moment, że trudno rozpoznać, co na nich rośnie, kartofle czy marchew, czy wreszcie inne jakie warzywo. Przecież nawet zdaleka na żywem polu odgadnąć można rodzaj jarzyny po pewnych znamiennych znakach koloru i porostu. Fantazyi poetyckiej puścił snadź wodze p. Wrzeszcz w dużem i efektownem malowidle „O zmroku.“ Grupa szeroko rozgałęzionych drzew, nieokreślonego rodzaju i atramentowo czarnego koloru stoi na brzegu atramentowo czarnego stawu. Rzecz prosta, iż woda w gęstym cieniu konarów, umieszczonych nad nią, może się wyrzec własnego koloru i zapożyczyć go od swego sklepienia, ale dlaczego owo sklepienie z drzew pochłonęło tyle asfaltu, skoro na niebie nie widać zgoła zmierzchu, ale względnie jasny błękit? W dodatku, zamiast purpury zachodu widzimy amarant, a zamiast zaróżowienia stropu, przybrukanie dziwną jakąś farbą.

A propos asfaltu, ale ulicznego. Cały kocioł napełniony nim umieścił p. Wolski w pośrodku ulicy w chwili gdy się masa smołowa gotuje a dym — dobrze nam znane pachnidło — bucha kłębami. Robotnicy kręcą się dokoła i podkładają ogień, jeden zaś miesza asfalt żelazną łyżką z długą rękojeścią. Zanurzył ją głęboko, więc żeby módz podważyć nią zawartość kotła, wiesza się całem ciałem na trzonie łopaty, jedną nogą oparłszy o bok kotła. Szkoda tylko, że zamiast tego wysiłku i parcia w dół, wyczuwa się na obrazie lekki podskok na jednej nodze, co chyba nie było w zamiarze artysty. W ogóle rzecz cała wypadła raczej jak ilustracya i niczem więcej nie jest, pomimo iż z asfalciarzy, wiecznie okopconych, uznojonych pracą ciężką i prawie hutniczą, można było wydobyć więcej charakteru i surowości.

Do pana Wolskiego wypadnie powrócić jeszcze — tymczasem skończmy z krajobrazami. Pan Piątkowski, którego postacie kobiece i sceny zbiorowe rażą mnóstwem fałszywych nut, i wachają się od sensacyjnego realizmu do niesmacznego i przesadzonego romantyzmu, w swych pejzażach daje prawdziwą niespodziankę. Motyw nad Tykiczem zastanawia wiernem i zdrowem poczuciem natury; nizki, sitowiem i nadwodnem zielskiem porosły brzeg nieznacznie zstępuje i zatapia się w wielki obszar białego jeziora; jak to widok mętny, posępny, niepoetyczny, rozdzielony między dwa kolory tylko: zielony i brudno-biały, a pomimo to tchnie pustką, smutkiem, burzą, dżdżystą pogodą i przez to robi wrażenie. Niezły jest i drugi, przedstawiający ogromne złomy granitu nad falą morską. Nie mniej zdziwiła mnie jazda „na pociąg“ — pana Ejsmonda, tak zazwyczaj słodko-ckliwego, jak gdyby malował dla samych niemek. Wielkiemi, śniegiem pokrytemi rozłogami, dorożki i sanie zdążają na dworzec kolejowy w porze, kiedy dzień zimowy już czy jeszcze walczy z nocą i zabarwia przestrzeń na niebiesko, jak w tym wypadku, trochę może za niebiesko. Główna rzecz, że na obrazie powietrza — moc i rozległość terenu wielka, że obłoki na widnokręgu mają charakterystyczny i bardzo naturalny wygląd a niebo po za niemi dobrze się zaróżowia właściwym mroźnej dobie światłem, zimnem i bladem.

Melancholię późnej jesieni nieźle pochwycił p. Weisenhof, w skrawku małomiejskiego cmentarza. Nad zgniłe — żółtem tłem zeschłych, pomoczonych pewnie i skręconych liści, grubą warstwą zaścielających ziemię, wznoszą się wysokie, pochylone ku sobie krzyże. U stóp ich tarzają się odłamy piaskowcowych nagrobków, porosłe mchem, a w górze falują ciężkie ołowiane chmury, zlekka tylko na krańcach widnokręgu jaśniejsze. Zamiast wszakże urozmaicić czemkolwiek już nazbyt dosadną zgniłą brunatność opadłych liści, artysta—snać jeszcze bardzo młody—postawił za krzyżami drzewo, również z charakterem listopadowym, ale z tonem wstrętnie, prawie nieprzyzwoicie, i co najważniejsza, kłamliwie żółtym. Że zaś krzyże były już namalowane wcześniej, i w wązkich między nimi odstępach trudno było poruszać swobodnie pędzlem, więc owe nieprzyzwoicie żółte, rzadkie liście zdradzają w sposób naiwny prostopadłość malowania i same robią wrażenie, jak gdyby wszystkie razem padały, nie przestając jednak trzymać się gałęzi. Na drugiem płócienku, przedstawiającem wyjazd jakichciś białorusinów na polowanie, nie brak dosadności typu, ale psy, koń i ludzie zanadto są do siebie podobni.

I panu Popowskiemu, który wystawił kilka niezupełnie marnych szkiców pejzażowych poradziłbym skromnie, ażeby wprawiał się usilnie w malowanie drzew.

Ale otośmy znowu przed panem Wolskim, którego wielkie no i — co prawda — słono ocenione płótno posłużyć nam może za naturalne przejście do innych rodzajów. W „Epizodzie z r. 1812“ stronę krajobrazową stanowią ogromne, zlodowaciałym śniegiem obciążone świerki, których wierzchołki, po prawej stronie malowidła, dobrze i delikatnie mięszają się z szronem, pływającym w mroźnem powietrzu. Główną wszakże rolę odgrywa karawana sań, które wiozą skrajem lasu ranionych żołnierzy. Starszyzna, otulona w płaszcze i również ozdobiona przewiązkami i bandażami, patrzy nieruchomie na ponurą defiladę, brnąc po kostki w śniegu. Zaś punktem ciężkości całego widowiska są sanie, w których ranioego żołnierza, usadowionego na słomie, tuli do piersi ksiądz. Grupa ta pachnie zdaleka krwią, sieroctwem i śmiercią i godna jest zaliczenia do lepszych pomysłów. Przeciąga ona jednak i niejako przechyla cały obraz w jeden kąt, uwydatniając chaotyczność i rozprzęgłość reszty kompozycyi.

Dużo sentymentu w jednym rożku, a na całej pozostałej płaszczyźnie wszystko mało skupione, rozluźnione, słowem obojętne. Jabym ten układ nazwał wprost nieudolnym i nieusprawiedliwiającym hojności, z jaką artysta szafował miejscem.

Kto chce mieć próbkę malowania niedbałego i twardego niechaj stanie przed drugim utworem tego samego pędzla; zobaczy wówczas wnętrze pracowni kogoś z drużyny Apellesa, w którem sam jej mieszkaniec ma zez, starą zmarszczkę na policzku z powodu... trzymania papierosa kątem ust i drewniane spodnie, a modelka choć tylko o dwie tafle posadzki od niego oddalona, przybrała rozmiary lilipucie, nie mówiąc o tem, że jest cała martwa i ma wyciętą z żurnalu twarz. Parę figielków malarskich, jak efektowne odbicie pieca w lustrze naprzeciw wiszącem, świadczą zresztą, że to zwyczajny „kicz,“ obliczony świadomie na gusta handlarzy i pensyonarek.

O parę kroków w bok — inna pracownia, odległa wszakże od nas czasem i miejscem. Właścicielem jej malarz, zakonnik ruski, który w tej chwili odsłania wykończoną prawie ikonę przed Jerzym I. Książę klęka pobożnie przed Matką Bożą widniejącą na wielkiem złotem tle, doskonale przez naszego malarza odtworzonem, a opodal przypatruje się obrazowi grupa ludzi z wyniosłym, siwym bojarem i staroświecko-stylowemi niewiastami na czele. Koloryt świeży i gorący, złożony z purpury, złota i zieleni bluszczu, girlandami oplatającego kratę okna, zdradza oko dobre i wabi harmonijnością swoją, tak jak sama kompozycya pociąga dobrym rytmem i spokojem, trochę może za nadto akademickim. Zaś niektóre momenty są wprost ładne, np. głowa i postawa dworzanina na pierwszym planie; zaczerwieniona refleksem purpurowej zasłony twarz artysty, pełna charakteru i męzkiej siły. Autorem tego smacznego płótna jest p. Kaczor-Batowski. Można mu przepowiedzieć, że będzie kolorystą dobrym, bo odważnym i szczęśliwym już jest. A że potrafi zdobyć się i na sentyment i posiada temperament artystyczny, o tem świadczy drugi jego utwór: „Wspomnienie,“ pełen dziwactw, przesady kobiecych liryzmów, a pomimo to szczery. Aż trzy ofiary przewrotności męzkiej toną w reminiscencyach; jedna głowę opuściła żałośnie, druga przy niej siedząca na posłaniu, widocznie chora, kurczowo przyciska do piersi pamiątkę i chorobliwie rozwartem patrzy okiem; trzecia w głębi cicho kładzie palce na klawiszach fortepianu. Za wiele romantyzmu — nieprawdaż, a przecie wyczuwa się tu dobrze melancholię szarej godziny i smutek. Gdyby tylko nie ten nieszczęsny pozór babińca...

Również na posłaniu i również z listem w ręku siedzi „Rekonwalescentka“ p. Trębacza. Czy list ów ma być oznaką powrotu do zdrowia? czy miska z lodem może cechować powrót do zdrowia? Jeśli za te wybryki logiki malarskiej djabli nie będą p. Trębacza warzyć w smole, to ja pójdę prosto do nieba. W każdym razie już nawet tu, na ziemi, podpisać by nań można wyrok śmieszności, rosnącej z każdym obrazem, gdyby nie pewien szyk w malowaniu.

Inny eks-monachijczyk, p. Steinberg dał wielkiego sfinksa egipskiego, między łapami którego rozłożył się swawolny amor. Co ten malec robi na pustyni pod gołem gwiaździstem niebem, skoro w nocy jego obecność jest niezdowną nie na pustyni — trudno się domyśleć, boć chyba nie przyleciał tutaj dla dobra starej, naciąganej, banalnej alegoryi; wyświadczyła ona artyście wątpliwą usługę, bo zepsuła samego sfinksa, który ze swym ogromem, subtelnym i tajemniczym uśmiechem, kamienną zielonością na tle południowej nocy, byłby czemś zgoła nie złem, gdyby mu tylko dano samotność. Mówiłby sam za siebie, a tak nie mówi nic.

Koledze niefortunnego alegorysty, p. Zarembskiemu, nie można zarzucić pogoni za „głębokiemi ideami“; pojmuje on, że jest przedewszystkiem malarzem i wybrał motyw skromny, ale charakterystyczny — parobka, który przy niedzieli czyta albo raczej sylabizuje „na książce,“ siedząc w stajni, w ubraniu świątecznem, na barłogu. Są tu dosyć trudne efekta światła przeciskającego się zewnątrz, jest dokładna prawda, lecz ton ogólny dla swej zgniłej brunatności — mocno dla malarza niewdzięczny. Podobnież na światło obliczył duże swe płótno p. Bergman, przedstawiając stare stadło rybackie przy płonącym na kominie ogniu. Przypomina to zlekka belgijczyka Izraelsa, nie jest bynajmniej nowe, trochę sztywne, ale starannie wystudyowane.

Nieco za żywo znów przypomina p. Wyczółkowskiego — p. Drożdżeński swą „Sceną jakich wiele,“ w której dama jest aż do niemożliwości lalką z wystawy zabawek. Podobnież „Sam na sam,“ jeno w stylu dyrektoryatu, wystawił świeżo Zdzisław Jasiński. Od czasu jak wrócił do Warszawy, autor „Chorej matki,“ najwidoczniej marnuje się, kto wie, może nadmiernem powodzeniem; to, co w tej chwili oglądamy, nie zawiera nic, prócz eleganckich, do zbytkownego buduaru przeznaczonych ram, niesmaku i twardości.

Ilekroć obejrzawszy jeszcze raz niezłych „Dziadów“ Styki, siedzących w niszy parkanu kościelnego —„Pierotkę“ Sypmanowskiego, znaną czytelnikom *Prawdy* oddawna, ładny portret pędzla p. Badowskiego, wybornego góralczyka Dulębianki, że już nie mówię o miernych rzeczach Wywiorskiego, Lentza, Kostrzewskiego — wracam do przedpokoju obfitującego w akwarele, wowczas staję przed jedną z nich i myślę sobie, a ze mną może i niejeden gość Towarzystwa zachęty: Ciebie nie oddałbym za żaden z nielicznych w sąsiedztwie klejnocików, nawet za oryginalną i trudną „Ulicę w Neapolu“ Faxrettiego. Na taką siłę typu, ekspresyi i skupienia, na taką potęgę prawdy, jak w dwu tych twarzach i postaciach, czających się na niedźwiedzie — nikt drugi może dzisiaj nie zdobyłby się.

Łatwo odgadnąć, o kim mówię — o Fałacie.

Cezary Jelenta.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Kłótnia o Zwierzyniec. — Głos *Gazety warszawskiej*. — Niema kłopotu z ofiarnością. — Narada fotografów nad pomnożeniem świąt dla swych pracowników. — Dobrą wolę zastąpi mus. — Przeciw egzaminom. — Ich pożyteczność w zmienionej formie. — Rozkoszny widok. — Ubodzy wielbiciele królowej. — Powołanie bogatych. — Omyłka Ben Akiby. — P. Głowacki i jego ziarno pieprzu.

Przy dobrej woli nawet z nieszczęścia prasa nasza umie wydobyć sobie materyał do kłótni. Upadł Zwierzyniec, wymarły najcenniejsze jego okazy, czyż potrzeba więcej, ażeby Piotr z Pawłem skoczyli sobie do oczu? Więc skoczyli. Nie myślę ani ich sądzić, ani do walki pobudzać, ani godzić, zatrzymam tylko uwagę czytelnika nad przedmiotową stroną tego sporu, która nas poważnie obchodzi. *Kuryer warszawski*, zawiesiwszy na drzewcu list jednej ze swych czytelniczek, wzywa ogół do składki na korzyść Zwierzyńca. Zwykle niezbyt spieszaca się ze swą gałką przy wszelkich głosowaniach publicznych *Gazeta warszawska* tym razem rzuciła ją bardzo szybko. Według niej ogół po pierwszem wzruszeniu szybko w swej ofiarności ostygnie, złożywszy najwyżej 1,000 rs., tj. zaledwie wartość jednego lwa lub tygrysa. Nadto „te groszowe ofiary są prawdziwą niedźwiedzią przysługą. Przedewszystkiem nakładają one na właścicieli i zarząd ogrodu krępujące zobowiązania, tembardziej niedogodne, że niemające objektu. Z drugiej zaś strony dyskredytują one Zwierzyniec jako instytucyę finansową, podrywając jej kredyt i zaufanie do niej... zupełnie pozbawiają ogród właściwego charakteru. Musi i powinien on stać się interesem handlowym, w przeciwnym razie skazany jest bezwarunkowo na zagładę. Czułe westchnienia reporterów i wdowie grosze nie nakarmią wszystkich głodnych zwierząt, nie opłacą służby. Tymczasem te ofiary nie pozwalają spojrzeć na Zwierzyniec pod *właściwym* kątem widzenia. Dziś człowiek, pragnący przyczynić się swymi kapitałami do rozwoju ogrodu i mający na celu zyski własne, tj. taki człowiek, który jedynie może ten ogród rzeczywiście postawić na nogi, kto wie, czy nie byłby potępionym? ...Zdaje się — powiada *Gazeta*, wieńcząc krytykę radą — że jedyna rzecz, która pozostaje, jest przekonać ludzi, chcących ciągnąć zyski ze swych kapitałów, że ogród zoologiczny jest *dobrym interesem*.“

Gazeta warszawska miałaby najzupełniejszą słuszność, gdyby ostrożny kapitał uznał jej „kąt widzenia“ za właściwy, gdyby Zwierzyniec był „dobrym interesem“ i gdyby „groszowe ofiary“ miały na celu utrzymanie dotychczasowej instytucyi. Ale rzeczywistość tym *gdyby* przeczy. Naprzód o ile nam wiadomo, nigdzie ogród zoologiczny nie istnieje o własnych siłach i wszędzie korzysta z zasiłków kas miejskich lub rządowych, a zatem nigdzie nie przedstawia on dla spekulacyi źródła pewnych zysków. Powtóre, podjęta składka nie odbywa się na taki ogród, ale na towarzystwo aklimatyzacyjne, które również będzie potrzebowało zapomogi ze strony ogółu, bo ma być instytucyą użyteczności publicznej. Wreszcie przypuśćmy najgorszy wypadek: i towarzystwo się nie zawiąże. W takim razie pozostanie w skarbonce kwestarza — według *Gaz. warsz.* — co najwyżej 1,000 rubli bez przeznaczenia. Wysokość tej sumy nie może nikomu ani nałożyć obowiązków, ani sprawić kłopotu, bo w ostateczności gdyby nią opłacono 25 wpisów uczniowskich, obdarzono jakąś ochronę lub szpitalik dziecięcy — nie byłoby w tej przemianie jej celu żadnego nieszczęścia. Tyle mamy dziur do załatania, tyle wyciągniętych po jałmużnę rąk, tyle głodnych ust, że nigdy fundusz publiczny nie potrzebuje szukać niedoli. Dodać przytem należy, iż rachunek *Gazety* jest raczej optymistycznym, niż niedowierzającym. Pomijamy Adasiów i Maniusie z ich groszami, ale jeżeli 150, wyraźnie: *stu pięćdziesięciu* urzędników kolei Nadwiślańskiej złożyło rs. 1 kop. 50, wyraźnie: *jeden rubel kopiejek pięćdziesiąt*, to chyba niema obawy, ażeby z tej składki powstała suma, którаby zakłopotała kwestarzów, co z nią zrobią, skoro towarzystwo aklimatyzacyjne zamrze w projekcie.

Gdyby wszakże z jakichś nieprzewidzianych przyczyn nawiedziło ich to strapienie, niech ofiarują zebrany fundusz na korzyść fotografów warszawskich. We wrześniu r. b. niektórzy z nich odbyli naradę, na której postanowili swym pracownikom, a mianowicie kopistom i retuszerom, do dotychczasowych 12 dni wypoczynku dodać jeszcze główne święta i niedziele. Większość wszakże zakładów nie przyjęła udziału ani w tej naradzie, ani w uchwale, gdyż jej inicyator (p. Mieczkowski) wydał im się za młody i niewczesnym zapałem uniesiony. Nadto pracownicy administracyi i pozorowie, którzy nie mieli korzystać z pomnożonych dni wypoczynku, zaprotestowali przeciwko uldze dla swych kolegów i koleżanek. Ponieważ taka reforma może się oprzeć tylko na zobowiązaniu solidarnem, zamykającem drogę współzawodnictwu, które

by ją wyzyskiwać mogło, więc dawny obyczaj pozostał niezmienionym. A jednakże musi on uledz zmianie. Pojmujemy interes fotografów, którzy mając największe zarobki w święta, nie chcą się ich zrzec; ale pojmujemy również, że 12 dni wolnych w ciągu roku, to za mało nawet dla koni i wołów, a tem mniej dla ludzi. Takiej nieprzerwanej pracy wymagać niepodobna, zwłaszcza tam, gdzie do niej nie zmusza żadna konieczność. Bo jeżeli dokonywający zdjęć fotograficznych są dla zakładu w święta niezbędni, to kopiści i retuszerzy nie potrzebują natychmiast wykończać odbitek. Zresztą nie chodzi tu o świętowanie kalendarzowe, ale o przerwy w pracy, zapobiegające przedwczesnemu targaniu i zużywaniu sił. Niech skazani losem na ciężkie roboty odpoczywają nie w niedzielę, ale w poniedziałek, środę lub piątek, ale niech mają jakieś wytchnienie.

Wszelkiemu tego rodzaju oporowi pracodawców, czy to w dziedzinie fotografii, czy jakiejkolwiek innej, mocno się dziwię. Dopóki bowiem o swe prawa dopominał się ten lub ów robotnik westchnieniem, szeptem, wreszcie głośnym wyrzutem, można było jego skargę lekceważyć. Ale gdy prąd reformy warunków pracy przeniknął wszystkie warstwy społeczeństwa, a nawet rządy, gdy świadomie lub bezwiednie wszystkie umysły pochyliły się w kierunku tego prądu, powstrzymywanie go jakąś kruchą zaporą jest wprost zabawne. Konieczności, której złamać nie można, trzeba ustąpić, a im prędzej, tem lepiej. Nieprzerywana odpoczynkami praca już dziś przechodzi do mitologii ustroju kapitalistycznego — za lat 50 stanowić będzie materyał bajek, opowiadanych o „dawnych czasach.“ Świat już się oswoił z myślą, że każdego człowieka trzeba uważać za człowieka, nie odzierać go z praw, nie wyzyskiwać materyalnej nad nim przewagi, nie wyczerpywać samolubnie i doszczętnie jego sił, pozwolić mu żyć istnieniem ludzkiem, a nie zwierzęcem lub roślinnem. Jakiekolwiek wątpliwości zasłaniają nam przyszłość, jest pewnem, że ona złagodzi lub usunie te nadużycia, zbliży się do myśli Kanta, według którego człowiek powinien być dla człowieka celem a nie środkiem. Tego przełomu niepodobna przepowiedzieć z taką dokładnością rachuby czasu, jak zaćmienia słońca, ale każdy rozumny badacz procesów społecznych widzi jasno, że naruszona równowaga czynników i stosunków przywraca się ciągle i nie pozostanie w okresie dotychczasowym. Niech więc i pp. fotografowie uwierzą, że prędzej czy później będą musieli dać swym pracownikom odpoczynki częstsze, niż dotychczas.

Miesięcznik ruski, *Wiestnik Wospitania*, żąda uwolnienia uczniów od egzaminów, jako ujemnie wpływających na zdrowie młodzieży i demoralizujących. „Czyżby dyrektorowie, inspektorowie i nauczyciele—pyta on — w ciągu całego roku nie mieli dość czasu i sposobności poznać dokładnie uzdolnień i zasobów wiedzy ucznia i na tej zasadzie orzec o możliwości przeniesienia go do klasy wyższej? Zeszłej zimy sprawę tę poruszono w Petersburgu na zjeździe technicznym i uczestnicy zebrania prawie jednogłośnie oświadczyli się przeciwko obecnemu systemowi egzaminów przejściowych.“ Kto tylko kiedykolwiek widział chłopców, wynędzniałych, znużonych nadmierną pracą, bezsennością i niepokojem przy końcu roku, ten przyzna, że egzaminy istotnie szkodzą ich zdrowiu. Ale czy podobna je usunąć zupełnie? Nauka szkolna jest zawsze do pewnego stopnia grą: szczęśliwi próżniacy mogą przez cały rok wygrywać, a nieszczęśliwi pracownicy — przegrywać; to znaczy: pierwsi mogą być wywoływani do odpowiedzi w rzadkich wypadkach przygotowania, a drudzy również w rzadkich wypadkach nieprzygotowania się. Najuważniejszemu nauczycielowi nagromadzi się mnóstwo wątpliwości co do pewnej gromadki uczniów, które on musi usunąć za pomocą egzaminu. Ale ten egzamin nie powinien być ciągnieniem losów, które rzeczywiście o niczem nie przekonywa, a rujnując przez kilka tygodni zdrowie młodzieży, dodaje do gry całorocznej jedną stawkę więcej. Każdy z własnych wspomnień przytoczyć sobie może towarzyszów, którzy z 50 pytań znając trzy, wyciągali właśnie jedno z tych trzech, podczas gdy inni przygotowani z 47 nie trafili na żadne z nich i otrzymali złe stopnie. Ponieważ zaś szkole nie chodzi o rozdawnictwo stopni, lecz o naukę, więc uczeń, który sumiennie zdobywał swą wiedzę w ciągu roku nie powinien wcale obciążać się jakąś osobną pracą przedegzaminową. I rzeczywiście byłoby to możliwem, ale wtedy tylko, kiedy ostateczne badanie zasobu jego wiadomości nie stanowiłoby ścisłej rewizyi w granicach jakiegoś szczegółowego pytania, wyciągnięto losem, ale ogólnem sprawdzeniem dokonanego postępu. Wówczas egzaminy byłyby probierzem pedagogicznym i nie wycieńczałyby młodzieży.

Dwaj kupcy—według aktu oskarżenia—przemycając z zagranicy i sprzedając w Warszawie wstążki, za które cło wraz z karą wynosi kilkaset tysięcy rubli, stanęli obecnie przed sądem i zajmują *tout le monde*. P. Wł. Natanson nie sprowadzał kontrabandy, tylko opracował i wydał obszerne (458 stronicowe) dzieło p. t. *Wstęp do fizyki teoretycznej* i po za szczupłem kółkiem specyalistów z pewnością nie zwraca na siebie niczyjej uwagi. To znaczy, że kto dba jedynie o rozgłos, prędzej go zdobędzie trudniąc się kontrabandą, niż nauką. Mimo wszakże tej kuszącej różnicy w zyskiwaniu sławy, książka p. Natansona, owoc poważnych badań, sprawia rozkoszne wrażenie. Więc nie poprzestajemy na tłomaczeniach, plagiatach, przygodnych artykulikach, ale pracujemy naukowo... Niech takie dowody jaknajczęściej nas przekonywają, a kto je przedewszystkiem składać może i powinien? Ludzie bogaci. Przestańmy sobie opowiadać o mędrcach w łachmanach, o geniuszach zbogacających wiedzę przy kagankach, o głodnych reformatorach; nauka jest dziś wielką panią, która potrzebuje ogromnych środków. Poślubia ona tylko miłośników bogatych, ubogim zaś pozwala kochać się i wzdychać do niej — zdaleka. Biedacy mogą ku tej królowej wznosić uwielbiające spojrzenia, ale nie zawierają z nią ścisłego związku i nie mają potomstwa. Zdarza się czasem inaczej, bo zdarza się i w świecie innych oddaleń. Lecz zwykle bogaty posiada, a ubogi marzy. W klubach i resursach zbudziłoby śmiech wezwanie wesołych graczów i biesiadników do pracy naukowej; jednakże najlepiej usprawiedliwiliby nią swoje przywileje. Świat bowiem obojętnie nie patrzy i patrzeć nie będzie na dziedziczny urząd szafarzów, rozrzucających tysiące rubli na zbytek i rozpustę, ale uznałby ich, gdyby te środki obracali na cele naukowe.

Ben Akiba omylił się — nie wszystko już było, a dowiódł nam tego niezbicie p. Al. Głowacki (B. Prus). Kiedyś Wacław Szymanowski do grzechów moich zaliczył jako ciężki i ten, że wbrew obyczajowi literackiemu śmiałem polemizować z krytykiem mojego dramatu, chociaż tylko sprostowałem jego mniemanie o atrybucyach instygatorów w dawnych sądach polskich, tj. podjąłem spór czysto naukowy. Tę skromną moją odwagę zaćmił wychowaniec nieboszczyka w sposób nieprawdopodobny a prawdziwy. Jak wiadomo, w ośmiu numerach *Prawdy* zamieściliśmy szczegółowy, beznamiętny, wielkie uznanie i szczerą sympatyę dla talentu wyrażający rozbiór pism p. Głowackiego. Ktokolwiek czytał to studyum, stwierdzi niewątpliwie, że w niem niema najmniejszego śladu nawet intencyi obrazy. I cóż robi ten odznaczony przez nas autor? Oświadcza w *Kuryerze codziennym* brutalnie, że praca nasza jest „stekiem *fałszów*, *insynuacyj*, *obelg* i nadewszystko niedorzeczności,“ obiecując przytem rozprawić się z nią w ciągu kilku tygodni. Sam Ben Akiba osłupiałby i przyznał, że tego jeszcze nie było. Jakkolwiek z tej „uwertury,“ w której p. G. z wyznaniem, że „*najmniej*“ odczuwa *rany* zadane mu przez p. Świętochowskiego,“ łączy zapowiedź kilkutygodniowego odwetu, w której twierdzi, że „antagonista,“ malując jego, namalował siebie, czyli znieważając jego, znieważał siebie, jakkolwiek — mówimy — z tej plątaniny pretensyj możnaby już wyciągnąć pewne wnioski o tańcu jego myśli, odsuwamy je aż do chwili, kiedy ofiara naszych „obelg, insynuacyj, fałszów i niedorzeczności“ wyleje wszystką gorycz ze swej duszy. Mając więcej materyału, będziemy mogli lepiej osądzić, czy ten niespodziewany wybuch był spełnieniem „głosu sumienia,“ pod wpływem którego p. G. powiedział sobie — jak zaznacza na wstępie: „jeśli będę mówił głupstwa, to przynajmniej choć trochę nowe i prawdziwe“; czy pęknięcie nadmiernie wyczulonej, autorskiej miłości własnej, która ma być w nim tak małą, jak „ziarno dobrze wysuszonego pieprzu,“ czy też... Ale nie zapuszczajmy się w domniemania. Za parę tygodni zważymy dokładnie i ocenimy należycie to ciekawe „ziarno pieprzu.“

Poseł Prawdy.

O KONKURS.

Odbieramy list następujący:

Towarzystwo Farmaceutyczne Warszawskie na posiedzeniu dnia 6-go czerwca 1889 roku uchwaliło nagrodę 300 rubli za pracę z dziedziny farmacyi praktycznej, lub historyi farmacyi dla pobudzenia do badań naukowych i ożywienia ruchu w piśmiennictwie fachowem.

Myśl śliczna i godna poklasku!

Nie mam zamiaru być prorokiem, aby z góry przepowiedzieć rezultaty, lecz jako dobrze wtajemniczony w warunki, w których owe prace mają być wykonane, postawię pytanie: Czy możebnem jest przy najszczerszych chęciach i wysiłkach spełniać zadanie tak, aby ono przyniosło korzyść i zostało uznane nie tylko przez komitet, ale i przez ogół interesowanych?

Tematy, podane przez Towarzystwo Farmaceutyczne, są poważne i wymagają czasu, pracy oraz materyału, a tego to właśnie brak młodej generacyi zajętej w aptekach, a pragnącej może stanąć do konkursu, zwłaszcza że dopuszczeni są do niego wszyscy farmaceuci bez względu na stopień naukowy.

Weźmę warunki prowizora — t. j. najlepsze! Przyjętą normę czasu wolnego od zajęć dla prowizora u nas w Królestwie jest pół dnia w tygodniu i co drugie święto cały dzień, a bardzo rzadko — dwa popołudnia w tygodniu; od 1-go października tedy (przypuściwszy, że zaraz wziął się do pracy, że ani godziny nie zmarnował) wynosi to najwyżej 80 dni. Czyż możebnem jest przez ten czas podołać zadaniu? Lecz mniejsza o czas, rozpatrzmy drugi warunek. Czy który z nas ma pomieszczenie podobne do pokoju, w którym możnaby chwile wolne spędzić przy jakichś studyach? Prawie nikt, a jeżeli ma, to bardzo niewielu i to nie takie, aby można było pracować w dzień, gdyż bardzo często jest to pokój bez okna, albo też mieści w sobie trzech lub czterech współpracowników, albo przylega do apteki i jest przechodni, albo go zupełnie niema i trzeba sypiać w szlabanach. Wreszcie trzeci a ważny warunek — zebranie materyału do tej pracy. Bardzo mało jest aptek, które posiadają jakieś dzieła zagraniczne, a jeszcze mniej, które prenumerują jakieś pisma zawodowe, a jeżeli prenumerują, to znowu chowają je przed pracującymi, aby nie tracić czasu na czytanie. Przytem, chcąc zrobić jakieś doświadczenie i biorąc na to pewien materyał, często możesz się spotkać z zapytaniem: poco to wszystko?

Wszystko to jest przykrem i bolesnem. Od czasu do czasu jakieś pismo zamieści artykulik, odkryje kulisy aptek, ale głosy te przebrzmiewają na puszczy.

W daleko lepszych warunkach są nasi koledzy warszawscy: mają sposobność korzystania z biblioteki Towarzystwa farmaceutycznego, choć i tu napotykają rozmaite przeszkody i pewne trudności: ale my na prowincyi! Zajrzyjcie, a rozpacz was ogarnie.

Wobec tego wszystkiego, czy wyznaczona nagroda przez Towarzystwo co pomoże? Czas pokaże. Prawdopodobnie prace nadejdą, napisane przez tych, których zachęcać nie potrzeba, którzy poświęcili się specyalnie nauce, lecz tych jest niewielu — dowodem nasze fachowe pismo *Wiadomości farmaceutyczne*. Jak mało w niem odzywa się specyalistów, a jeżeli są oryginalne badania naukowe, to najczęściej nie farmaceutów.

Więc jeżeli, czegobym bardzo pragnął, który z farmaceutów, znajdujący się w takich warunkach, nadeśle swoją pracę, tem będzie ona więcej godną uznania i słusznie zasłuży na nagrodę.

Pracujący.

KRONIKA.

Rozszerzenie praw kobiet-lekarek.

Nareszcie lekarka postawiona została w jednym rzędzie z lekarzem. Na mocy nowych przepisów, ogłoszonych już, kobiety posiadające świadectwo z ukończenia byłych kursów medycznych, pozyskują prawo *powszechnej i wolnej praktyki*. Imiona ich na równi z imionami lekarzy znajdą się w urzędowych skorowidzach. W charakterze specyalistek od chorób kobiecych i dziecięcych wolno będzie lekarkom zajmować wszędzie posady doktorów bez praw służby państwowej, mianowicie: w instytutach kobiecych, gimnazyach, pensyach, szkołach i innych dobroczynnych i wychowawczych zakładach, jako też w kobiecych i dziecięcych szpitalach, w zakładach położniczych oraz dokonywających kontrolę nad prostytucyą. Na skutek starań instytucyj ziemskich lekarki będą dopuszczane przez gubernialne zarządy medyczne do zawiadowstwa ziemskich rewirów lekarskich, jak również znajdujących się w nich szpitali wiejskich, ambulatoryów i wszelkiego rodzaju zakładów leczniczych. Tylko komisye wojskowe i ekspertyza sądowo-lekarska oraz zawiadowstwo ogólnych szpitali i zakładów leczniczych wiejskich nie będą dla nich dostępne.

Faktycznie lekarka w Cesarstwie już dawno wywalczyła sobie niektóre z pomienionych stanowisk i przy ziemstwach położyła niemałe zasługi, zyskując jednocześnie uznanie i sympatyę społeczeństwa. Prawo, podążając teraz w ślad za jej zdobyczą, uświęca tylko tę ostatnią i otwiera szersze pole zarobkowania, na którem dotychczas rozpierał się monopol mężczyzny. „To równouprawnienie kobiet-lekarek — powiadają *Rusk. Wiedomasti* — występuje jako nowy akt uznania ze strony rządu ich niewątpliwych zasług w trudnej i odpowiedzialnej roli lekarza praktycznego... Jeden tylko szczegół w przepisach 2 sierpnia może smucić: na ich czele zaznaczono, iż zakład (kursy medyczne), w którym kobiety otrzymywały wykształcenie — jest skasowany. Ale zarazem zachodzi pytanie, czy nie zwiastuje też nowe prawo zbliżenia się ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy wyższego wykształcenia lekarskiego kobiet w Rosyi?"

Wiele zdaje się przemawiać za tem, iż pytanie to może niedaleka przyszłość rozstrzygnie zaspakajająco. Póki w sferach rządzących panowała wątpliwość co do celowości kobiecej praktyki lekarskiej, przeważać musiał również pogląd, że i wykształcenie medyczne kobiet jest zbyteczném. Z chwilą zaś gdy użyteczność usługi kobiecej w dziedzinie porady lekarskiej została stwierdzoną doświadczeniem, a prawodawca pospieszył z sankcyą, trudno odpędzić natrętną myśl, że zgaszone chwilowo ognisko wiedzy medycznej dla kobiet— w postaci kursów petersburskich — znowu zostanie rozpalone, może nawet w kształcie wydziału lekarskiego w wykluwającym się już uniwersytecie kobiecym. Trudno przypuścić, żeby przedmiotem prawa miały być wychowanki byłych kursów, postacie przemijające; prędzej oczekiwać trzeba, że prawo to powołane zostało do życia tak dla obecnych lekarek, jak dla tych, co przybędą jeszcze.

Samoobrona pracodawców.

Na Szlązku, w powiecie nowotarskim, właściciele ziemscy założyli Towarzystwo, którego celem ma być zapobieganie zrywaniu umowy przez czeladź i robotników. Do towarzystwa tego oprócz obywateli ziemskich wchodzą i przemysłowcy. Ustawa obowiązuje każdego członka, ażeby przed najmem czeladzi lub robotnika fabrycznego wywiadywał się wprzód, czy w uprzedniem miejscu swej służby dotrzymali przyjętych zobowiązań, tj. czy dotrwali u dawnego pracodawcy do terminu umowy. Jeżeli robotnicy nie mogą tego dowieść, członkom-pracodawcom stowarzyszonym nie wolno przyjąć ich nietylko na służbę, lecz nawet nie powinni oni ich zatrudniać w pobocznych fabrykach (?). W razie gdyby który z członków przyjął robotnika nieoględnie, a potem dowiedział się, że tenże w ostatniej służbie umowy nie dotrzymał, ustawą stowarzyszonych obowiązany jest takiego najmitę oddalić. Dalej, gdyby u którego z członków sługa lub robotnik opuścił samowolnie służbę przed terminem, poszkodowany obowiązany jest natychmiast donieść o tem zarządowi Towarzystwa. Ten zaś zawiadamia niezwłocznie pozostałych członków, aby takiego robotnika na służbę nie przyjmowali. Przypomina to poniekąd czasy pańszczyźniane i uderza nas swoim egoizmem klasowym. Nasuwa się pytanie, czy najmita zrywa umowę tylko przez lekkomyślność, czy też także i dlatego, że pracodawca nadużywa swej przewagi? Wiadomo przecież, że zobowiązania przyjmowane przez słabszą stronę pod naciskiem mocniejszej bywają częstokroć trudne do zniesienia. Samowola więc najmity, gdy zmienia miejsce przed terminem, bywa „samowymiarem" sprawiedliwości. Wobec jednak samoobrony pracodawców najmita stanie zupełnie rozbrojony...

Nowe pismo.

W Anglii pod redakcyą Davitt'a ukazał się pierwszy numer pisma *Labour Wordl*. Ten nowy organ położył sobie za zadanie: bardziej celową i demokratyczną organizacyę pracy; uspołecznienie corocznego dochodu, otrzymywanego dzięki warunkom niezależnym od prywatnej inicyatywy i osobistej pracy przedsiębiorcy; rozwój municypalnego i państwowego dozoru oraz wykup na własność społeczną tych gałęzi produkcyi, które sposobem kolektywnym mogą być pomyślnie prowadzone. Redakcya oświadcza, że jej dążnością będzie zjednoczenie klasy robotniczej królestwa Wielkiej Brytanii. *Labour Wordl* twierdzi, że wobec najnowszych dążności przedsiębiorców do samoobrony (np. uzbrajanie ładowników portowych przeciw związkom najmickim) nowy tradesunionizm powinien szukać oparcia na szerszej organizacyi.

Sprawy społeczne. W ministeryum spraw wewnętrznych opracowany jest projekt założenia w całej Rosyi kas gminnych na tych zasadach, na jakich istnieją obecnie w Królestwie Polskiem. Główny nadzór ma być powierzony naczelnikom ziemskim.

— Poruszony przez prowizora Grzybowskiego projekt zastąpienia felczerów przez specyalistów farmaceutów we wszystkich aptekach wojskowych i cywilnych, władza zatwierdziła (*Swiet*).

— W oddziale ziemskiem ministeryum spraw wewnętrznych rozpatrywaną jest ustawa Towarzystwa pomocy dla przesiedleńców. Założycielami są kapitaliści moskiewscy i petersburscy tudzież urzędnicy.

— Przy cukrowniach: Marya, Łanięta i Izabelin otwarto kasy przezorności i pomocy dla oficyalistów i stałych pracowników fabrycznych, których ogółem 200 osób.

— Pocztowe kasy oszczędności otwarto przy stacyach pocztowych w gub. wołyńskiej, saratowskiej, penzeńskiej i ufiańskiej.

— Władze austryackie zabroniły zagranicznym agencyom emigracyjnym agitowania śród włościan galicyjskich.

— We Lwowie ma powstać nowy dom dla zakładu położniczego.

— W Krakowie urządzone będą ogrzewalnie dla kobiet.

Szkoły. Ma być zreformowany obecny system składania egzaminów dojrzałości. Obok istniejących obecnie włączone będą wszystkie przedmioty kursu gimnazyalnego.

— Cesarska Akademia sztuk pięknych w roku przyszłym ma otrzymać 6,000 rs. na utrzymanie kursów pedagogicznych dla przygotowania nauczycieli rysunków.

— Znakomity psychiatra wiedeński, prof. Krafft-Ebbing radzi wprowadzenie dla lekarzy egzaminów z psychiatryi, tudzież utworzenie odpowiednich katedr, gdyż zdaniem jego znajomość psychiatryi jest bardzo słabą.

— Miasto Hamburg zniosło opłatę szkolną za naukę początkową.

— W Krakowie oprócz zakładu patologicznego ma powstać fizyologiczny dla użytku słuchaczów wydziału lekarskiego.

Gospodarstwo leśne. Postanowiono wyasygnować w roku przyszłym: na rzecz leśnictw stepowych 10,469 rs., na koszty wysłania leśników za granicę w celach naukowych 4,000 rs.

— *Rocznik leśny* ma wychodzić w Warszawie. Będzie on wydawany na wzór podobnych pism niemieckich.

Podatki. Ministeryum spraw wewnętrznych opracowywa kwestyę zmniejszenia podatków gromadzkich, tudzież ustanowienia normy wydatków gmin.

Przemysł i handel. Kilku warszawskich handlarzów trzody, nie mogąc się doczekać otwarcia granicy pruskiej postanowiło wybudować rzeźnię w okolicy Sosnowic, zkąd mięso w stanie peklowanym wysyłane będzie do Berlina.

— Z powodu, iż handel zewnętzny bydłem i produktami zwierzęcymi jest w stanie niepomyślnym, rząd zamierza przeprowadzić reformy weterynaryjno-sanitarne, któreby obaliły nieufność zagranicy do tutejszego towaru, a następnie zajmie się uregulowaniem warunków wywozu.

— Do departamentu handlu i przemysłu wniesiono prośbę Towarzystwa pod firmą: „Spółka Serrel automatycznego rozwijania jedwabiu," o wydanie 10 letniego przywileju na nowy sposób przygotowywania kokonów do przędzenia jedwabiu.

— Zawiązuje się spółka komandytowa z kapitałem 30,000 rs. fabrykacyi win i przetworów owocowych na Nowej-Pradze.

— Żądanie fabrykantów łódzkich zniżenia opłat transportowych na bawełnę azyatycką przyjęto przychylnie.

Rolnictwo. Na koszty obserwacyi meteorologicznych przy zakładach rolniczych i ogrodniczych, ministeryum dóbr państwa postanowiło wydać w r. p. 2,000 rs.

— W celu poparcia niektórych gałęzi gospodarstwa wiejskiego ministeryum dóbr państwa zamierza wyasygnować w r. p. 40,000 na rozwój fabrykacyi serów i masła, 9,000 na nabycie nasion w dobrych gatunkach i narzędzi i 5,000 rs. na rozwój rybołówstwa.

— Zbiory tegoroczne w Stanach Zjednoczonych dały bardzo niepomyślne rezultaty; ubytek w stosunku do przeszłorocznych wynosi przeciętnie 25%.

— We Francyi zebrano r. b. $119\frac{1}{2}$ milionów hektolitrów zboża.

Koleje. Główne towarzystwo kolei ruskich postanowiło sposobem próby urządzić kilkaset wagonów ogniotrwałych systemu Babajewa.

— Na mającym odbyć się w listopadzie zjeździe przedstawicieli ruskich dróg żelaznych będzie wniesiona ustawa ogólna o bezpłatnych lub tanich przejazdach pasażerów według zasad przyjętych na kolejach rządo-

wych. Nadto ma być rozstrzygnięta sprawa budowy specyalnych wagonów dla pociągów robotniczych, tudzież obowiązkowego dla wszystkich dróg oświetlenia wagonów elektrycznością.

— W tych dniach nastąpi otwarcie nowej lini austryackiej Jasielsko-Rzeszowskiej.

— Ministeryum komunikacyi opracowywa obecnie typ tanich dróg żelaznych, które mają posłużyć jako wzór dla przemysłowych kolei dojazdowych. Główna uwaga będzie zwrócona na taniość budowy. Według projektu inżyniera Woroncowa szerokość toru kolejowego ma wynosić najwyżej trzy stopy; wszystkie wydatki na budowę drogi w miejscowości równej obliczono na 7,500 rs. pagórkowatej 9,400, górzystej 9,500 rs. za wiorstę.

— Kontrola państwa przystąpiła do ułożenia projektu uproszczenia i ulepszenia kontroli na kolejach żelaznych.

Wystawy. Na wszechrosyjskiej wystawie pracy kobiet rzemieślniczo-artystycznej będzie umieszczona kolekcya miniaturowych figur, wyobrażających mody kobiece z różnych wieków.

Zjazdy. Pierwsze zgromadzenie instytutu dziennikarzów angielskich odbywa się obecnie w Birminghamie.

— We Lwowie odbył się zjazd delegatów rusińskiego Towarzystwa.

— Na zjeździe aptekarzy we Lwowie uchwalono wydanie komentarzy do nowej farmakologii, ułożonych przez prof. Zajączkowskiego.

— W Gnieźnie odbyło się walne zebranie kółek rolniczych pow. gnieźnieńskiego i witkowskiego.

Konkursy. Warszawskie Towarzystwo farmaceutyczne ogłasza konkurs z nagrodą 300 rs. za najlepszą pracę w języku polskim z dziedziny farmacyi praktycznej albo historyi farmacyi. Objętość dowolna; treść stanowić może: podręcznik, obejmujący najlepsze wskazówki do wyrobu wód mineralnych sztucznych, praktyczne sposoby dochodzenia dobroci przetworów, objętych obowiązującą farmakopeą, fabrykacyę plastrów smarowanych, pastylek, ekstraktów, przyrządzanie przetworów żelatynowych, wskazówki racyonalnej uprawy ziół lekarskich itd. Udział mogą wziąć wszyscy farmaceuci, urodzeni i zamieszkali w Królestwie Polskiem, bez względu na stopień naukowy. Termin: 1 października 1891 r. Towarzystwo zastrzega możność rozdzielenia nagrody na dwie: 200 i 100 rs. Dochód ze sprzedaży pracy nagrodzonej obrócony będzie na nagrodę dla następnego konkursu.

Wiadomości administracyjne. *Kur. warsz.* donosi: p. o. oberpolicmajstra w obszernym i szczegółowo opracowanym memoryale do władzy wyższej przedstawił potrzebę zwiększenia warszawskiej policyi prawie we wszystkich jej gałęziach, a w szczególności śledczej. Po obliczeniu kosztów tej reformy okazało się, iż wyniosłyby one przeszło 200,000 rs. czyli że na utrzymanie policyi miasto nasze asygnowałoby rs. 900,000 rocznie, co (biorąc pod uwagę ostątni budżet) stanowiłoby prawie połowę ogólnego dochodu.

Sprawy robotnicze. W ministeryum spraw wewnętrznych opracowywany jest projekt, który będzie uzupełnieniem wydanych przedtem przepisów o najmie do robót rolnych: W razie jeżeli ktoś wynajmie robotnika, który odszedł od innego gospodarza i nie odrobił wziętych z góry pieniędzy, nowy gospodarz obowiązany jest zapłacić dług robotnika gospodarzowi poprzedniemu.

Komunikacye. Telefony zaprowadzono w Tomaszowie Rawskim.

— W ministeryum komunikacyi poruszono projekt budowy kilkunastu dróg bitych w Królestwie Polskiem od miast główniejszych do stacyj dróg żelaznych. W tym celu zarządy kolejowe mają przesłać swoje uwagi, w jakich kierunkach szosy uważają za niezbędne dla udogodnienia komunikacyi i ruchu towarowego. Na roboty powyższe ministeryum zamierza wyjednać kredyt kilkoletni po 500,000 rs. rocznie.

— W sprawie gruntownej przeróbki i uzupełnień systemów wodnych: Berezyńskiego, Dnieprzańsko-Buskiego, Ogińskiego, Wyższo-Wołoskiego i Tychwińskiego, komisya techniczna proponuje oddanie tych robót i dalszej eksploatacyi kanałów towarzystwom prywatnym.

Bibliografia. L. Kondratowicz, *Wybór poezyj*, wydanie nowe na rzecz wdowy i sierot autora. Warszawa, tom I, str. 434.

— G. Chwat, *Buchalterya podwójna*, zeszyt 4.

— *Kalendarz powszechny* na r. 1891, Warszawa, Paprocki.

Zmarli. Dr. Herman Grieben, w Kolonii, publicysta i poeta niemiecki.

— Courtmaus, powieściopisarka flamandzka.

— John Mossmann, rzeźbiarz szkocki.

Uczeń gimnazyum pilny i zdolny a biedny, nie mogąc opłacić wpisu, prosi za naszem pośrednictwem o pomoc.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu R. L. Prosimy. Częściowo skorzystamy.

Panu A. T. w Krakowie. Studyum to dla nas obszerne. Dzieł tych nie wydamy.

Panu A. G. w R. Utwór pański nie dla nas.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 5 Октября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**